Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł.

wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 4 lipca 1948 r. Nr 27 (156)

W NUMERZE

między innymi:

Jan Aleksander Król

PRAWDA POLITYCZNA

U narodzin jednej, wspólnej organizacji młodzieżowej w Polsce zapisać będzie musiał historyk dwa wydarzenia. nie bez wpływu na treść i natężenie samego zjednoczenia. Pierwsze wydarzenie to — **list papieski**. Drugie — konferencja **londyńska.**

Kiedy papież przekreśla odpowiedzialność Niemiec za cel i potworności minionej wojny, kiedy moralnym według niego jest powrót Niemców do wschodnich posiadłości (z którego zaboru?), kiedy konferencja londyńska przekreśla zjednoczenie Niemiec, poprzedzone demilitaryzacją i demokratyzacją, kiedy odrzuca przewidziane w Jałcie i Poczdamie zawarcie traktatu pokojowego z Niemcami, kiedy zagarnia zachodnie, przemysłowe Niemcy dla eksploatacji USA i Anglii, kiedy na tej odciętej przestrzeni Niemiec hoduje hitlerowskie zarazki nacjonalizmu szowinistycznego i odwetowego, kiedy dla ożywienia ducha narodowego powołuje niemieckich magnatów przemysłowych, odbierając kontrolę nad produkcją masom narodu niemieckiego, kiedy „jedność" przygotowuje za kordonem przez siły kapitalistyczne i hitlerowskie, kiedy patronuje ich żądaniom wznowienia rewizji wschodnich granic — taki list papieża i takie uchwały konferencji londyńskiej stają się dla młodzieży polskiej przysłowiowym „kijem w mrowisku".

I nie mamy tu na myśli — pierwszego tylko, doraźnego, spontanicznego odruchu solidarności narodowej. Jakże mogłoby być inaczej, kiedy i list papieża i konferencja londyńska odnawiają szowinistyczne zapędy niemieckie na nasze ziemie zachodnie. Te dwa wydarzenia otwierają naszej młodzieży oczy na coś więcej, na międzynarodową politykę, na świadomą akcję rozbicia krajów Europy na przeciwstawiające się sobie wzajem obozy. Przed młodzieżą stają zasadnicze pytania: Kto porusza sprężynami tej akcji? Komu ona służy? Jakie będą jej konsekwencje?

Są już pewne prawdy dorobkiem i społeczeństwa i młodzieży. Do takich należy doświadczenie i zrozumienie sensu minionej wojny. Na Polskę napadły Niemcy nie dlatego, że mają takie odwieczne skłonności [illegible], nie dlatego, że się im charakter narodowy odmienił na „wściekliznę".

I pierwsza i druga wojna światowa należały (w punkcie wyjścia) do wojen wewnętrznych kapitalizmu imperialnego. Na przełomie w. XIX i XX kończy się podział świata pomiędzy stare mocarstwa kapitalistyczne. Ściślej należałoby powiedzieć — pomiędzy stare ośrodki dyspozycji kapitalistycznego władania. Stanowi je oligarchia burżuazyjna USA, Anglii, Francji, powiązania sięgają do Niemiec, Rosji carskiej, Włoch, Japonii. Ale fasadą dla tych ośrodków są rządy państw kapitalistycznych, majestat suwerennych narodów. Wiek XIX wytworzył bowiem nie tylko burżuazję, ale i burżuazyjne pojęcie ojczyzny i patriotyzmu. To są narzędzia rywalizacji wewnątrzklasowej szczytów kapitalistycznych różnych krajów.

Słynna, kompromitująca Anglię, wojna z Burami w pierwszych latach XX wieku odsłoniła straszny mechanizm imperializmu kapitalistycznego. Najazdy na dalekie lądy w XVIII w. poszły w zapomnienie. Rola stróżów kolonii nie miała dla Europy drastycznej wymowy militarnej okupacji. Uprzytomniło ją dopiero powstanie Burów. Stało się jasne, że stare imperia na wolnej konkurencji poprzestać nie mogą, że walka interesów opiera się o militarne zaplecze. Kraje (lądy całe) kiedyś eksploatowane przez wywóz surowca, przez eksportowane tam towary użytkowe, później maszyny, wytwarzające towary, od szyn kolejowych poczynając, kraje te dojrzewające z czasem coraz bardziej przemysłowo, dlatego właśnie stają się równolegle coraz mniej „dojne", coraz bardziej gospodarczo samowystarczalne, coraz silniej wzbierają dążeniami emancypacyjnymi. Dlatego „utrzymanie ich w ręku" zmusza imperialny kapitalizm do wprowadzenia [illegible]. Po [illegible] dzenia tajemnicy i zasady swego panowania. Opinia europejska w wojnie z Burami chciała jeszcze widzieć nieprzytomne, wyjątkowe zacietrzewienie polityków W. Brytanii, wynikłe być może stąd, że byli nimi gubernatorzy.

Przewlekła, wieloletnia wojna z Burami sygnalizowała inną jednak prawdę. Zarysowały się przed kapitalizmem cztery niebezpieczeństwa: 1) pierwsze próby wyzwalania się kolonii, 2) zaostrzenie się konkurencji pomiędzy ośrodkami wielkiego kapitału, co znaczyło między innymi: kolonia wypadając z naszych rąk dostanie się w ręce naszego konkurenta, 3) rozwój przemysłowy o apetytach imperialnych zapóźnionych krajów (Niemcy, Włochy, Japonia), 4) drążący Europę ruch klasy robotniczej, niebezpieczeństwo obalenia ustroju kapitalistycznego, w dalszej konsekwencji podcięcie tradycyjnej kalkulacji wyzysku, opartej o eksploatację dalekich lądów i kolonii.

Na przełomie w. XIX i XX Stany Zjednoczone AP. już przewyższają W. Brytanię potencjałem gospodarczym. Pierwsza wojna światowa grozi jej ze strony Niemiec jeszcze bardziej poniżającym przesunięciem w hierarchii kapitalistycznych mocarstw. Dla Francji przegrana równałaby się (po ciosie z r. 1870) wykreśleniu jej z tradycyjnego koncertu, rozstrzygającego dotąd o równowadze europejskiej. W tej wojnie kapitalizm nie miał zginąć. Miał tylko zmienić skład sił, decydujących o dalszych jego losach. Gdyby sobie wyobrazić zwycięstwo Niemiec w pierwszej wojnie światowej, stworzyłoby ono dla Anglii zagrożenie straszliwe, ale i dla USA bardzo wielkie. W posiadaniu Niemiec znalazłoby się zaplecze: Polska i wielkie przestrzenie Rosji. Francja w szachu: Włochy—Niemcy. Wpływ bezwzględny na Bałkany. Morze Śródziemne, Mała Azja, Kanał Sueski i wybrzeże Afryki wyleciałyby z rąk Anglii; odcięcie od Indii (i Anglii i Francji i Holandii). Konkurentem na Dalekim Wschodzie dla USA stałyby się Niemcy i Japonia.

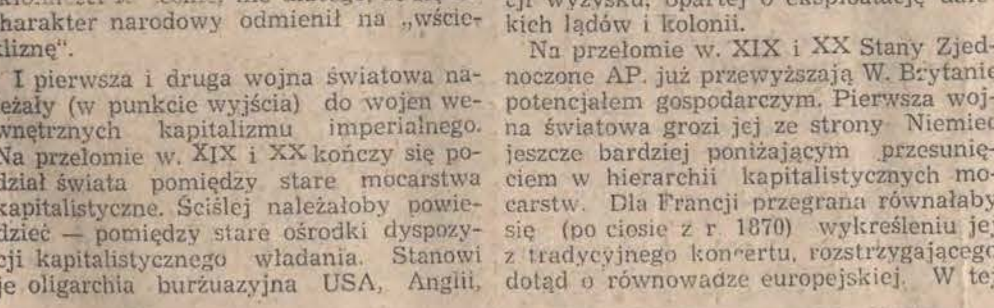


Słowiański wał obronny osady biskupińskiej

Niemcy przegrały. Zwycięstwo w wewnątrzimperialnej wojnie musiało być opłacone ustępstwami na rzecz dziewiętnastowiecznej tradycji (liberalnej) wolności narodowej ludów. Pękła monarchia Habsburska. Powstała Polska. Ale pod koniec tej wojny rewolucja rosyjska zrealizowała powszechną w Europie ideę walki z kapitalizmem w jednym wielkim kraju. Kapitalizm został zagrożony nie tylko w swej wewnętrznej strukturze — walką konkurentów — ale również od zewnątrz. Sama zasada ustrojowa kapitalizmu została podważona zaistnieniem państwa o przeciwstawnym ustroju. Ta nowa sytuacja skomplikowała grę kapitalistyczną. Należało „podminowanie Europy" traktować na tym etapie bardziej serio, niż za paryskiej komuny. Należało na Dalekim Wschodzie liczyć się z ruchami wolnościowymi nie tylko ze względu na czyhających na odbicie konkurentów. Czerwona rewolucja w Hiszpanii, czerwona rewolucja w Chinach pokazały właściwy bieg historii nowoczesnej. Kapitalizm imperialny stanął przed podwójnym zadaniem: dalszego wzajemnego pożerania się konkurentów z uwzględnieniem warunków, które by broniły sam system kapitalistyczny przed zagładą.

Przegrane Niemcy i Włochy zostają z powrotem protegowane. Ich faszyzm robi wrażenie nowego ustroju. Nie widzi się, że nową jest tylko forma organizacji kapitalizmu, pozbawionego tego, co miała Anglia poza macierzystym krajem tzn. przestrzeni, surowców i sił roboczych. Nie widzi się, że faszyzm to organizowanie kapitalizmu agresywnego, kapitalizmu na wojnę, po przestrzenie, surowce i siły robocze. Nie widzi się, że na tym etapie imperializmu pojęcie „kolonii" traci swój związek tradycyjny z dalekimi lądami i kolorowymi ludami. Kolonie zaczynają się teraz tuż poza granicą państwa faszystowskiego, nie widzi się, że tę nową fazę zaczynają wprawdzie Niemcy, Włochy i Japonia, ale ona w rozwoju kapitalizmu staje się etapem obowiązującym cały świat kapitalistyczny. Po drugiej wojnie światowej sukcesorem tak rozumianych kolonii staną się Stany Zjednoczone AP. Cóż innego oznacza wdarcie się USA w Kongo Belgijskie? Cóż innego — wymuszenie na Anglii zniesienia umów preferencyjnych z członkami Brytyjskiej Wspólnoty Narodów? Dotychczas wewnętrzne rynki imperium angielskiego stają otworem dla USA. Cóż innego — przejęcie od W. Brytanii wielu punktów strategicznych, handlowych i przemysłowych? Cóż innego — w ramach planu Marshalla — wejście z finansjerą i wielkim przemysłem angielskim w kartel? Cóż innego — dyktat polityczny i gospodarczy postawiony Francji, którego sens jest jeden — rozbrajanie przemysłu francuskiego, przeobrażenie Francji w kolonię albo dosłownie „dziką", skazaną na towary amerykańskie, albo kolonię uprzemysłowioną w posiadaniu firm amerykańskich. Cóż innego — angielska rozpaczliwa masakra w Grecji i Palestynie dla utrzymania Morza Śródziemnego i poprzez kanał Sueski drogi do Indii?

Ale wróćmy jeszcze na moment do lat międzywojennych. Gra kapitalistyczna na dwie strony przynosi nieobliczalne wyniki. Faszystowskie, wojenne Niemcy — łudziły Chamberlainów, że cała energia tu zgromadzona obróci się na obronę systemu kapitalistycznego, że utuczonym



S. Jakubowski. Grodzisko świątyni Swarożyca w Radgoszczy



konkurentem załatwią komunizm, zniszczą Związek Radziecki. Już w r. 1935 popularna piosenka Hitlerjugend głosiła:

„My chcemy maszerować przeciw Rosji,
my chcemy wejść do Rosji.
Bolszewicy ugną się pod naszą pięścią!
Pożary rozkwitną na drogach".
(według „Prager Presse")

Oczywiście, chcieli. I nawet również dlatego, aby kiedy się reprezentuje kapitalizm, zniszczyć komunizm. Ale kiedy się reprezentuje kapitalizm, to niszczy się wszystko. Pobita Rosja byłaby pierwszą podstawą (przestrzenie, surowce, siły robocze), do pobicia kapitalistycznych konkurentów. I Niemcy musiały w tej fazie działać na dwa fronty. Stało się to widoczne od pierwszych dni września 39 r. Kapitalistyczny imperializm bije się i z przeciwnikiem ustrojowym i ze zwolennikiem tego samego ustroju, skoro ustrój kapitalistyczny stoi na konkurencji i na wynikających z niej konfliktach — coraz ostrzejszych i rozszerzających się na coraz większe zespoły sił narodowych, rzucanych w starcie.

Gdyby znów przyjąć możliwość zwycięstwa w tej wojnie Niemiec, jakżeby wyglądała sytuacja międzynarodowa? Czy byłoby to tylko zwycięstwo nad komunizmem? Za co otrzymaliby marszałkowie i politycy III Rzeszy historyczne dyplomy z Waszyngtonu i Londynu? Ejże. Zwycięstwo Niemiec (nawet bez zajęcia Anglii) to znaczy: cała Europa „pracująca" dla nich. Azja w dwóch rączkach: niemieckiej i japońskiej. USA i Anglia przegnane z Pacyfiku, Morze Śródziemne — niemieckie. Afryka buszowana przez niemieckie i włoskie ekspedycje. Hm, jakby się prezentowały USA? Prawda, że jeszcze przed wojną osiągnęły dwa razy większy od Anglii potencjał gospodarczy. Prawda, że St. Zjednoczone są gospodarczo samowystarczalne. Ale nie na tym polega funkcjonowanie systemu kapitalistycznego. Nie brać towarów — to znaczy zmuszać inne kraje do brania własnych, to znaczy zyskać warunki na niszczenie tam przemysłu. W wypadku zwycięstwa Niemiec USA zostałyby odcięte od rynków obcych i od panowania na nich, czekałby je los ugotowania się we własnym sosie.

Wygrana Niemiec to nowy układ w hierarchii mocarstw kapitalistycznych. Na pierwszym miejscu znalazłyby się Niemcy, potem Japonia, dopiero USA, Włochy; dla parowiekowej, świetnej tradycji Anglii nadszedłby koniec, pogrzebana zostałaby i Francja.

Niemcy przegrały. Ale trzeba powiedzieć sobie, kto je rozgromił? Kto ocalił USA i Anglię przed opisanym dopiero co losem? One same? Niewątpliwie część udziału w tej wojnie złożyły. Rozstrzygającą? Militarnie rozstrzygającą — w krwi, odwadze i strategii? Gdzie do diabła rozstrzygnęły się losy wojny — na zachodnim, czy wschodnim froncie? Gdyby nawet przyjąć — popularną w latach okupacji opinię — że alianci się nie spieszą, niech się Związek Radziecki wykrwawi na ile się tylko da, to i wówczas trudno pominąć dwie prawdy: 1) na odcinku własnym, Afryka, Pacyfik — długo i kompromitująco załatwiali się alianci, 2) ich „odczekiwanie" rzeczywiście pozwoliło Niemcom związać $3/4$ swoich sił na froncie wschodnim.

I gdyby nie zapora tutaj inaczejby wyglądała sprawa Japonii i Pacyfiku. Tak czy inaczej (z obliczeniem, czy bez obliczenia aliantów) losy wojny rozstrzygnęły się na wschodnim froncie. Niemców pobił Związek Radziecki. Czy to coś znaczy? Oczywiście, znaczy bardzo wiele. Wojna Niemiec, czy wojna aliantów (niezależnie od tego co by sobie przypisywali) miała jeden sens: utrwalić system kapitalistyczny (podbicie ZSRR) zgnieść, osłabić i wybić się ponad pozostałych konkurentów imperialnego kapitalizmu. W tym rachunku niezmienną miała pozostać zasada światowego panowania ustroju kapitalistycznego. W zmiennych natomiast: 1) przeszeregowanie w hierarchii mocarstw kapitalistycznych, i 2) przejście zwycięskich, tym samym najpotężniejszych konkurentów imperialnych do kontynuowania fazy kapitalizmu, zapoczątkowanej przez faszystowskie Niemcy tzn.: wszystko co poza nami — to kolonie. Koniec z krajami „przejściowymi", średnimi, na pół mocarstwowymi. I rzeczywiście, wcześniej trzeszczą żebra Anglii, Francji i Włoch, niż Danii, Szwajcarii czy Holandii.

Wojna dla Związku Radzieckiego miała inny sens: obrony federacji **narodów socjalistycznych** i walki z państwem, reprezentującym kapitalizm imperialny. W rachunku „alianckim" los wszystkich narodów (poza najpotężniejszymi imperiami) został sprowadzony do losu kolonii i półkolonii. Przekreślona ich suwerenność polityczna, przekreślony ich rozwój gospodarczy i rozwój przemian społecznych, tzn. możliwość zniesienia ustroju kapitalistycznego i przejęcia przez masy ludowe władzy państwowej.

W rachunku wojennym Związku Radzieckiego otwierała się możliwość na wyprowadzenie natychmiast szeregu narodów z ich dotychczasowej sytuacji półkolonii, na ułatwienie im przez zwycięstwo nad kapitalistycznymi i faszystowskimi Niemcami dokonania głębokich, historycznie koniecznych i zbawczych przemian socjalnych. Bo suwerenność narodów mierzona może być tylko stopniem niezależności od kapitalizmu. Jeszcze do tej wojny mogło wydawać się krajom takim, jak Belgia czy Holandia (z zapleczem w koloniach), lub takim jak Szwajcaria czy Dania, że koniunkturalna ich sytuacja da się utrzymać na długą przyszłość. Dziś upadły złudzenia. Inna jest pozycja Anglii i Niemiec. Skończyła się rola Danii, jako „dojnego wymienia" u brzegów W. Brytanii. Skończyły się nadzieje rentierów belgijskich, na to aby ich dzieci mogły pić mleko z kokosów. **Benelux** to nie bene lulu!

W rachunku wojennym Związku Radzieckiego otwierała się możliwość ugruntowania na nowych przestrzeniach Europy i świata postępowych dążeń mas ludowych i zrealizowania idei sprawiedliwości społecznej. Otwierała się możliwość trafienia do rozsądku mieszczaństwa tych półśrednich, tych niby jeszcze mocarstwowych krajów kapitalistycznych, jak Francja, która na „ładzie amerykańskim", zyskuje tylko nieład, druzgocący jej pozycje państwa, tyle w Europie dotąd znaczącego. Otwierała się możliwość osadzenia aliantów w większym respekcie dla sił Europy i świata, które budują nowy porządek ustrojowy.

I chociaż pod bardzo dziwną postacią — respekt ten da się wyczytać. Nerwowe, gwałtowne zabiegi USA i Anglii, (dozorcy Ameryki w Europie), aby owładnąć Włochami, Francją, Hiszpanią, Niemcami i drobiazgiem z Beneluxu mówią aż nadto wyraźnie o znaczeniu, jakie przypisują zwycięstwu w tej wojnie, Związkowi Radzieckiemu i powstaniu demokracyj ludowych w środkowej i wschodniej Europie.

To co się dzieje z Anglią, Włochami, Francją i Niemcami ma w tych krajach wymowę katastrof narodowych. Kartelizacja tych państw stanowi nawet dla burżuazji cios. Z czynnej i niezależnej ekonomicznie przechodzi na pozycje opłaconych akcjonariuszów. Na jak długo i w jakiej wysokości? Odpowiedzi na te dwa pytania ona już dać nie może.

Kartelizacja odcina ją od wpływu na tok produkcji. Dla mas narodowych tych krajów kartelizacja oznacza albo zniszczenie przemysłu albo przejęcie go przez... „plan Marshalla". USA dodają do zaognionych wewnętrznych stosunków społecznych jeszcze jeden motyw — walki narodowej, walki o wolność narodu. W tej chwili znajduje się ona całkowicie na linii walki klasowej i jedynym jej rzeczywistym sukcesorem został proletariat Anglii, Francji, Włoch i Niemiec. Te dwie walki w kapitaliźmie zbiegają się i muszą się zbiec tym szybciej i tym gwałtowniej im bardziej jawna staje się ingerencja obcego kapitału. Burżuazja zdradza swój naród. Burżuazja przestała być wewnętrzną sprawą socjalną narodu. Jest z nią dziś tak, jak z francuską arystokracją w dniach Wielkiej Rewolucji, siedzi na cudzych dworach i skamle o pomoc dla zdławienia wolności własnych narodów. Proces ten odbywa się z gwałtowną szybkością. Jego przebieg toczy się poprzez ogniwa klasowe. Wyłączmy chwilowo z rachunku burżuazję. Uderza już teraz w średnie i drobne mieszczaństwo, uderza jeszcze silniej w robotników i chłopów. Zmowa z Włochami czy Francją nie jest zmową z narodem. Konferencja londyńska nie wzięła pod uwagę, że narody obdarzone „ładem amerykańskim" na zmowę kapitału USA z kapitałem ich burżuazji dopiero odpowiedzą. Tym ostrzej, że jak na przykładzie Francji widać, Francja (tzn. jej finasjera) została odsunięta od kontroli nad produkcją Zagłębia Ruhry, a jej własna produkcja na terenach odzyskanych włączona jest w plan strefy okupacyjnej.

Uchwały konferencji londyńskiej ukazują masom ludowym krajów, opanowanych planem Marshalla, nowego żandarma, jakiego z Niemiec chce USA urobić, dla pilnowania skolonizowanej części Europy i zagrożenia nimi po raz drugi Europie demokracyj ludowych. Kapitalizm był przed wojną. Był we Francji, Anglii i Włoszech. Ale ten, jakiego zaznają dziś ma inną wymowę. Nawet o Anglii można powiedzieć: **kapitalizm w kapitaliźmie.** Odnawianie eksperymentu z Niemcami w stylu przedwojennym nie jest zapowiedzią nawet powrotu do lat międzywojennych. Przeciwnie, zapowiedzią utrzymania narodów, schwyconych w „ład amerykański" w potrzasku imperialnego, eksploatującego kapitału USA.

Dlatego rozwiązywanie sprawy niemieckiej przez Stany Zjednoczone i Anglię *jest zawiązywaniem sznura wokół* państw, wepchniętych w plan Marshalla, jest groźnym, nieobliczalnym dla samych USA ożywieniem w Niemczech szowinistycznych, odwetowych tendencyj. Jest burzeniem pokoju. Bo pokój oparty o gwarancje tylko kapitalistyczne w fazie imperialnej kapitalizmu nie ma i nie może mieć żadnych trwałych podstaw. List papieża, który był uwerturą do konferencji londyńskiej wniósł wiatr, jaki sieje burzę. Nawet nie bronił formalnych zasad pokoju. Jak jest to jest — byle nie było gorzej. Nawet tyle nie zawierał w obliczu milionów spalonych w krematoriach, bestialsko pomordowanych, nie licząc milionów zabitych w tzw. regularnej wojnie.

List papieża raz jeszcze od czasów Piusa X powtórzył zasady moralności liberalno-kapitalistycznej.

Ta historyczna interpretacja etyki chrześcijańskiej jest bardzo spóźniona wobec historii i bardzo odstaje od Ewangelii, którą wyjaśnia.

Czy te dwie różnice dadzą się przesłonić w masach społeczeństw europejskich autorytetem głowy kościoła? Niewola avniońska może się powtórzyć nie raz. Ludzie potrafią taki fakt łatwo zrozumieć i potrafią wówczas na miejsce nieobecnego głosiciela Ewangelii, głosić ją sami i zwykle wówczas brzmi ona najczyściej. Bo i jej sprawdzianem jest zawsze głos powszechny mas narodowych. Zło, które w danym momencie historycznym bije w piersi milionów, jest rzeczywistym złem moralnym. I w tym — tradycji europejskiej etyki chrześcijańskiej wiernym pozostał i jest proletariat narodów wyzwolonych i narodów ciemiężonych jeszcze przez kapitalizm.

Kiedy myślę o młodzieży polskiej jednoczącej się we wspólną organizację wydaje mi się, że wśród wielu ważnych przyczyn i te dwa wydarzenia: list papieski i konferencja londyńska odegrają niemałą rolę. Oczyszczają one przed wzrokiem młodzieży wielkie pole widzenia.

Naród — to rządzące masy ludowe. Wolność narodu to wolność od wewnętrznego i zewnętrznego kapitalizmu. W walce o równość społeczną we własnym kraju, w walce z kapitalizmem imperialnym o wolność własnego narodu i innych narodów, masy ludowe i ich awangarda, zjednoczona młodzież niosą dlatego na ustach słowa żywej Ewangelii, kłamałyby jej, czyniąc co innego i kłamcami nazwą tych, którzy moralnym mienią kapitalizm.

Jan Aleksander Król

Wiktor Woroszylski

SOLIDARYSTYCZNA BEZRADNOŚĆ

Mamy maj 1945 r. Wojna dopiero się skończyła, powracają do Anglii pierwsi zdemobilizowani. Wśród nich — „trzej panowie w cywilu", trzej przyjaciele z frontu. „Wojna się skończyła — no i co dalej?" — to pytanie zostaje postawione już na pierwszej stronicy powieści Priestley'a *). Młodzi ludzie wierzyli będąc na froncie, że gdy nastąpi pokój, wszystko się zmieni, będzie inaczej niż kiedyś. I oto stykają się z niezmienionym społeczeństwem, ze starą machiną wyzysku, nierówności, obłudy. Młodym eks-żołnierzom nie podoba się sytuacji, którą zastają. Chcą zmienić tę sytuację, chcą walczyć. Dotąd jest wszystko w porządku.

Ale sięgnijmy do motywacji. „Mnie tam wszystko jedno, czy będę pracował dla siebie, czy stowarzyszę się z innymi w jakiejś rolniczej kooperatywie, czy będę pracować w kołchozie, na gospodarce typu rosyjskiego. Po tym wszystkim co przeżyłem, ze wstrętem patrzę na obrzydliwą chciwość, nie mogę słuchać tego ohydnego wrzasku, jakby wygłodniałe psy darły się o ochłap padliny" O co chodzi w przytoczonych zdaniach? Do czego i dlaczego będzie dążył syn farmera, świeżo przybyły z frontu?

Ten człowiek, jak wynika z powyższego, **nie uświadomił sobie nic z właściwego sensu panujących stosunków społecznych,** nie wie, gdzie szukać przyczyn zła, ani jak je zwalczać. Jest mu wszystko jedno, jaki będzie system produkcyjny, gniewają go tylko pewne przykre cechy otoczenia (np. chciwość) wzięte w oderwaniu od ustroju, który je zrodził.

Ten jest synem farmera, który dorobił się podczas wojny, ale drugi przyjaciel, robotnik, w mniejszym jeszcze stopniu zdaje sobie sprawę o co chodzi. Ten znowu czuje się pokrzywdzony dlatego, że w czasie, gdy on przebywał na froncie, żona jego „puszczała się z Yankesami". Problem żywcem wyjęty z „Drogi powrotnej" Remarque'a.

Centralną postacią książki jest trzeci kombatant, młody arystokrata, który oświadcza: „nasza klasa socjalna wykończyła się jako klasa i nie powinna upierać się przy kontynuacji". Przed dojściem do tej obiecującej konkluzji eks-żołnierz ostatniej wojny przeżywa głęboką rozterkę, wraz z nim przeżywa rozterkę jego siostra, młoda arystokratka o czułym i szlachetnym sercu (zadanie szkolne: — porównać: Dianę, bohaterkę „Trzech panów w cywilu" z młodą arystokratką z „Miasta w dolinie" i Sheilą Birling z „Pana inspektora" wyszukać w tych trzech utworach inne identyczne postacie).

Przeżywając rozterkę, dyskutuje. Diana zwierza się bratu: **„próbowałam polubić kobiety i dzieci,** wówczas, gdy pracowałam na punkcie opieki nad ewakuowanymi. **Próbowałam polubić mężczyzn** — gdy pracowałam w stołówce dla żołnierzy. Ale nie polubiłam ani jednych, ani drugich... **Wiem, że to niedobrze**, ale nie mogę poradzić sama ze sobą". (Podkr. moje — W. W.). Na to brat przekonuje ją, że ludzie z gminu są inni, niż ona sądzi: „Pod powłoką gruboskórności... mają jakąś ukrytą, im tylko właściwą subtelność i delikatność uczuć... **Mają wyrobione własne, głęboko zakorzenione poczucie moralne".** — (Podkr. moje — W. W.).

A więc znowu z zagadnień polityczno-społecznych ciężar zostaje przesunięty na zagadnienia „poczucia moralnego" ludu i t. p. To poczucie moralne jest też powodem, że w końcu arystokratyczne rodzeństwo zawiera sojusz z młodym farmerem i robociarzem, aby wspólnie dążyć do jakiejś zmiany. Jeszcze raz sięgnijmy do motywacji: „Nie będziemy zbyteczni, nie będziemy wykończeni, o ile nie będziemy separowali się od innych. My przecież wszyscy jesteśmy tym samym społeczeństwem. Niektórzy z nas — to bardzo sympatyczni członkowie społeczeństwa. Ale musimy myśleć o sobie tak, jak o zwykłych ludziach... Trzeba, abyśmy nie starali się zachować dla siebie osobliwych przywilejów, jakich nie posiadają masy".

Zauważmy tu nawiasowo, że książka Priestley'a jest agitką. Da się w niej wykazać wyraźna zależność wielu stwierdzeń i sądów od akcji przedwyborczej labourzystów (lato 1945 — wybory do Izby Gmin). Jaką zatem rolę odgrywa w tym kontekście przytoczona wypowiedź bohatera powieści? Wydaje się, że można ją traktować tylko jako **wskazanie moralne (i praktyczne) wysunięte w kierunku klas posiadających Wielkiej Brytanii, a w pierwszym rzędzie — arystokracji.**

Priestley buduje również ogólny program dla całego społeczeństwa. „Trzej panowie w cywilu" mają wszak walczyć o zmianę, o reformy. Oto jak będzie wyglądała ich działalność: „Będziemy pracować uczciwie dla społeczeństwa, będziemy wykonywali tę pracę, do której społeczeństwo osądzi, że się nadajemy. Przestaniemy być leniwi i głupi, chciwi i nieczuli. Zamiast współzawodnictwa — współpraca. Zamiast próżniactwa — planowanie".

W ramach jakiego ustroju? Czy uprzednio nastąpi ludowa rewolucja? Jeśli tak, kto i jak ją przeprowadzi? Jeśli nie, jaką pracę będą wykonywali dla społeczeństwa kapitalistycznego, jak będą planowali?

Kropka. Odpowiedzi brak. Bohaterowie zostali wyprowadzeni w pole, a raczej na utopijną drogę — do „Miasta w dolinie". Ostatnia cytata służyć może za tezę przewodnią.

Priestley'a uważa się niekiedy za komunistę. Może jest on nim w życiu prywatnym, możliwe też, że głosi postępową ideologię w swoich pracach publicystycznych, albo w dziełach literackich, których jeszcze nie znamy. Wymienione jednak utwory pisał typowy angielski drobnomieszczański moralista. Moralista, na którym ciążą złudzenia fabianizmu i wszelkich innych utopijno — socjalistycznych kierunków Wielkiej Brytanii. Moralista, posiadający niewątpliwie bardzo dobre chęci, lecz całkowicie bezsilny.

*) Priestley — Trzej panowie w cywilu, Książka, 1947.

W I E R S Z E

Wiktor Woroszylski

DNIEPROSTRÓJ

Zawsze nosił ze sobą kieszonkowy Dnieprostrój.
Kiedy spajał turbiny acetylenem zdań,
obecni, zamiast zdziwionych bąbelków powietrza,
gładko łykali tomiska ekonomii politycznej.

Czasem przerywał montaż. Granatowa policja
wołała Szczepka i Tońka. W cholerycznie wesołym
filmie „Będzie lepiej" — nie przyrzekali nic.

Dnieprostrój był chlebem powszednim
i zapalnikiem granatu,
uśmiechem, częstszym od przyczyn,
snu balonem, rzadszym, niż trzeba.

Gdy po wojnie włączał go w mównicę trzaskiem dłoni,
frunęli robociarze, jak pasy transmisyjne,
porywając tysiące kółek i tłoków.

— Hej, stary, nie boisz się, że wyczerpie
swą elektryczną potencję kieszonkowy Dnieprostrój!

— Kieszonkowe Dnieprostroje są wszędzie,
we wszystkich częściach świata,
we wszystkich tomach Marksa, Lenina, Wiesława,
w mózgach i ramionach towarzyszy.



Wiktor Woroszylski

WIERSZ

Nie sugestywny jest mój obraz
i metafora mało lotna.
Mój wierszu, na mnie się nie obraź,
gdy znów cię rzucę w pieca otchłań.

Za miejskim oknem wschodzi neon —
rekwizyt stary dziś, jak księżyc.
Mieni się zwrotka — kameleon,
lecz która postać zerwie więzy?

Mózg się nie ugiął pod grawiurą
czasów niełatwych, którem przeżył.
A przecież — trudno zważyć pióro
ręką, gdzie świeży ślad pepeszy.

Cóż, przyjaciółko zbyt ostrożna, —
choć łask mi swoich chcesz odmówić,
nie przerwę walki. Wiem, że można
zwyciężyć ciężar własnych słów.

1946

Tadeusz Kubiak

DOBRY WIECZÓR W GRECJI

— Dobry wieczór, dziewczęta — powiedział pan
porucznik.
Ejże, poruczniku Jego Królewskiej Mości —
dobry?

Ten wieczór —
Ptak sentymentalniuszek nieopodal Pireusu
strąca krople na ziemię z drzewka starej Hellady,
ziemi pięknej i chrobrej.

Z nad morza pachnie owocami i solą.
Nawet kwiatem. Napozór.
Naprawdę pachnie krwią
z koncentracyjnych obozów.

Porucznik, wchodząc, odbezpieczył pistolet.
Potomku rodu szlachetnego, jak diament.
Ciemność, jak winorośl, zatruta twym oddechem
do dna, do dna — oplata wzgórz ateńskich zbocza,
świątyni fronton, kamienną nawę,
morze o egejskich oczach.

Wieczór coraz trwalszy.
Ciemność doskonalsza.

Na srebrnym parkiecie
wirujące szale,
jedwabie, tiule,
—balet —

Biały balet!

Dziewczyny! o płynnych biodrach i talii,
jak skrzypce Stradivariusa —
jakże was bardzo żal mi. Jakże was żal mi.
Ateńskie fordanserki. Muzy z krwią na ustach.

Wchodzą inni. Są zbrojni.
— Dobry wieczór! Ach, dobry...
Cudzoziemcy ślepi i pyszni jak pawie.

Taki wieczór w górach
jest wieczorem złym.
Taki wieczór w górach
przez całą noc krwawi.
Wąwozy drzew miedzianych
kołyszą partyzantów
na dolę i niedolę,
w górach gdzie wodospady,
w górach gdzie wodospady
płuczą gardła dolin.

W taki wieczór dobry, w kącie gdzie najciemniej
portowy tragarz pije.
Jak Bóg Ojciec po sześciu dniach pracy — znużony
Naga czaszka, brwi ciężkie.
Diabli wiedzą co się
w takim łbie kryje?

Ha — brzęk! To nic. To tylko
portowy tragarz zdusił,
zdusił w palcach szklaneczkę z południowym winem.
O, gdyby mógł tak palce zacisnąć na szyi,
na żywej, ciepłej. Nie pytajcie — czyjej?

W dobry, w bardzo dobry wieczór,
dusząc szkło w łapie kosmatej,
gdy z nad morza pachnie
wodorostem i solą
pyta jak Sokrates —

— Dlaczego dzieci, które
ledwo uniosą karabin...
— Dlaczego dziewięć dziewczyn,
które wirują w świetle...
— Dlaczego kolorowe
okręty, które w porcie...

— Dlaczego taki wieczór
w górach
jest wieczorem śmierci...

Pan porucznik — czas już na mnie —
powiedział — dobranoc.

Ejże panie poruczniku, nie dobra, nie dobra.
I dzień nie dobry.
Świtem portowego tragarza rozstrzelano.

Oddychającego jeszcze pochłonęła ziemia
piękna i chrobra,
na piątym kilometrze od portu Pireus.

Ptak drapieżny i czarny zagrzebał w piachu
krew tragarza, krew z jego czoła, z jego ust.



Tadeusz Kubiak

SZKICE GĘSIM PIÓREM

(Złote Góry na granicy polsko-czeskiej)

1

W głębi zamek. Zły szkielet.
Gotyckie niebo w oknach.
Chłop zaciąga z litewska.
Tu rzeka zwie się Ohna.

2

Wiosenny sad ucina
biała, graniczna ścieżka.
Dla gibkich saren nie ma
granicy. Znikły gdzieś tam.

3

Która pachnie tak ciepło
po najciemniejszy kres dnia,
która mi przypomina
twej skóry woń — daglezja.

4

Dnia od dnia nie oddzielisz za nic,
nocy od nocy nie odłączysz.
Miecze światłości mimo granic
godzą w dwu nocy wspólne kłącze.

5

Gdy noc, jak łania chyłkiem z gór zbiega
poprzez granice od drzew zielone —
tropi ją strażnik — niosącą polski
księżyc na zachód, na czeską stronę.

6

Między różnymi namiętnościami
wzniesiono biały, graniczny kamień.
Lecz śmieszni, którzyby zamierzyli
wznieść tu graniczny słup dla motyli.

7

Buk w Złotych Górach ma jasną skórę.
Różowe łono niebo wieczorne.
Potoki mają zielone oczy.
Radość wysoka jest jak Jawornik.

Jakub Litwin

Uwagi o organizacji studiów humanistycznych

Podnoszę sprawę, o której już nieco pisano i mówiono — ale której nie rozpatrzono we wszystkich jej aspektach. Rzecz dotyczy organizacji studiów uniwersyteckich — a ściślej — studiów na wydziałach humanistycznych. Nie tu miejsce na szczegółową analizę teoretycznych założeń różnych teorii humanistycznych. Mówić będę o sprawach bardzo praktycznych. O tym jak funkcjonują i jakie potrzeby stawia aktualna sytuacja społeczno-kulturalna tym dyscyplinom, których zadaniem jest kształcenie pracowników kultury.

Znaczne niewątpliwie zmiany nastąpiły w systemie uniwersyteckim po wojnie. Uniwersytety uzgadniają coraz bardziej i bardziej swą działalność z praktyką społeczną. Ale powojenny przełom społeczny był tak radykalny i szybki, że ideologia nie zawsze za nim nadążała. Zapytajmy bodajże, czy uniwersyteckie wydziały humanistyczne wzięły pod uwagę tę całą game zapotrzebowania różnorodnych fachowców, jaką wykazuje dzisiejsza sytuacja społeczno-kulturalna? Albo nowe — masowe i planowe — metody przekazywania wiedzy i kultury?

Przyjrzyjmy się bliżej aktualnej sytuacji.

Wiedzę przekazuje się dziś narodowi już nie tylko poprzez szkoły i gimnazja — ale i poprzez różnego rodzaju instytucje—świetlice, masowe biblioteki, organizacje społeczne, szerokie planowe akcje kulturalne i t. d. A w organizacji upowszechnienia wiedzy i kultury biorą udział przedstawiciele wszystkich klas społecznych. Nie tylko inteligencja — ta tradycyjna warstwa pielęgnująca kulturę — ale również klasa robotnicza i chłopi.

Nie idzie tu już o wytworzenie osobowości, ani o wychowanie indywidualnego człowieka, lecz o wprowadzenie w pełnię kultury narodowej i kulturalne uaktywnienie tych klas i warstw, które dotąd nie brały w niej w zasadzie udziału. Jest to konieczność historyczna i społeczna, mająca na celu zmazanie krzywd przeszłości i przyśpieszenie drogi do socjalizmu.

Niektórzy „ideologowie" dowodzili a i dziś jeszcze dowodzą, że prowadzi to do obniżenia poziomu i wiedzy i kultury. Być może — o ile jednak założymy, że wiedza i kultura są dostępne tylko umysłowi mieszczanina czy ziemianina — a nie robotnika czy chłopa. Podobnej tezy używał kiedyś Arystoteles dla uzasadnienia niewolnictwa w średniowieczu — św. Augustyn, dzieląc ludzi na wybrańców bożych i potępieńców, w celu uzasadnienia poddaństwa feudalnego—a w XIX w. hr. Gobineau, Joe Chamberlain i inni — w innym układzie teoretycznym ale z tymi samymi konsekwencjami — prowadzącymi prosto w objęcia...! Czyż trzeba wymieniać nazwę systemów społecznych głoszących — jeszcze dziś — nierówność przyrodzoną ras, narodów i klas społecznych?

Wbrew twierdzeniu mieszczańskich ideologów można dziś stwierdzić wręcz agresję narodu w kulturę — bez obniżenia jej poziomu. Intensywny dopływ robotników i chłopów do szkół, gimnazjów, kursów, uniwersytetów — świadczy, co najmniej, o ich wielkiej chłonności kulturalnej.

Ale klasy ludowe apercypują wiedzę i kulturę inaczej niż klasy dotąd uprzywilejowane. Nie konsumcyjnie i personalnie. Lecz społecznie i praktycznie.

Zmiana odbiorców, funkcji społecznej i nowe metody przekazywania kultury wymagają nowego typu pracownika. Obznajmionego zarówno z planowaniem, jak i pracą masową. Nie tylko teoretyka — ale również praktyka.

Czy takich pracowników mogą wydać dzisiejsze wydziały humanistyczne?

Mimo wszystkich inowacji i unowocześnień brak im owych elementów, które by pouczyły studentów o nowych metodach pracy kulturalnej. I mimo wszystko wydają jeszcze pracowników niekomunikatywnych, tzn. takich, którzy nie umieją przekazywać swej wiedzy stosownie do nowych zapotrzebowań społecznych, nowych odbiorców i nowych funkcji humanistyki.

Jakież więc postulaty można by im postawić?

Zasadniczo winny się wydziały humanistyczne przestawić na uzawodowienie i upraktycznienie studiów — i to w najróżnorodniejszym kierunku — by wydawać nie tylko wykładowców (np. nauczycieli) ale również organizatorów i kierowników pracy kulturalnej, nie tylko teoretyków, ale w przeważającej mierze praktyków kultury. Wymaga to zmiany społecznej postawy wobec wiedzy i kultury. Zarówno ze strony wykładowców jak i studentów — z czysto teoretycznej, jak dotychczas, na techniczno- lub praktyczno-teoretyczną. A w istocie rzeczy zmiana powinna polegać przypuszczalnie na likwidacji rozgraniczenia metod nauczania jakie dotąd jeszcze dzielą wydziały humanistyczne od technicznych (np. ekonomii, politechniki czy medycyny).

Niewątpliwie do rozpracowania pozostaje zagadnienie technicznej reorganizacji studiów humanistycznych, czy to drogą komasacji pewnych sekcji, czy też przez stworzenie nowych sekcji z nową strukturą nauczania. Zagadnienie to trzeba zostawić do rozwiązania fachowcom.

Niezbędnym jednak wydaje się również wprowadzenie na wydziałach humanistycznych nauki o planowaniu. Zrozumiał to już bodajże Karol Mannheim i choć nie rozwiązał zagadnienia z dostateczną precyzją — nie mniej w naszej sytuacji społeczno-kulturalnej dojrzało już ono na tyle, że winno się znaleźć na wokandzie dyskusji uniwersyteckich.

Postawione zagadnienie jest pilne i ważne. Tym bardziej, że chociażby tworząca się jednolita organizacja młodzieżowa, jak też Służba Polsce — wymagają pracowników kultury przystosowanych do nowych zadań i wyposażonych w nowe metody przekazywania wiedzy.

Ale zapytajmy jeszcze, czy jest dziś miejsce w pracy kulturalnej na pracownika liberalnego, indywidualistycznego typu?

Jakie było np. społeczne zachowanie lekarza w ustroju kapitalistycznym? Wybieram celowo przykład osobnika wyposażonego w techniczny zawód, by na nim wykazać, jak ustrój społeczno-gospodarczy sprawuje kontrolę i troszczy się o te tylko wartości, które są mu niezbędne. Kapitalizm wykształcił zawodowca o wysokich kwalifikacjach techniczno-naukowych — utrzymując go jednak w ramach wolno-towarowego rynku. Nie czynił go więc pracownikiem społecznym — świadomym swych zadań i powinności — a tylko kupcem sprzedającym swój towar. Nie innym było społeczne zachowanie inżyniera, absolwenta szkoły handlowej itd., itd. Ale w każdym bądź razie społeczeństwo mieszczańskie wyposażyło się w niezbędnych fachowców — byli bowiem koniecznym elementem rozwoju gospodarczego klas posiadających i dysponujących środkami produkcji.

Nie tu miejsce na analizę zagadnienia — dlaczego to samo społeczeństwo, które kształciło i wychowywało sobie zawodowych pracowników nauk przyrodniczych i technicznych — separowało od praktyki społecznej nauki humanistyczne — dowodząc przy tym, że przedmiotem ich badań jest nie rzeczowa materialna struktura społeczna, a tylko duch ludzki. Ważne jest jednak, że społeczna izolacja nauk humanistycznych miała nader społeczne uwarunkowanie — chociażby przez możność uzasadnienia istniejącego ustroju (jak np. u Sombarta) i zwalczania przeciwników, dowodzących dialektycznej przemijalności formacji społecznych. W konsekwencji zaś prowadziła do dwudzielności wiedzy i kultury — na ludową, przeznaczoną dla klas pracujących — i „wiedzę czystą" osiągalną przez klasy posiadające.

Zadaniem naszego pokolenia jest likwidacja tych mieszczańskich przeżytków intelektualnych i naukowych. Przebudowanie studiów humanistycznych — by nie były świadectwem antagonizmów społecznych — ale jedności zadań i celów narodowych.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do przykładu lekarza i inżyniera. Uzyskują oni kwalifikacje zawodowe i naukowe, nie tylko drogą teoretycznych wykładów i studiowania dzieł naukowych — ale również, i to w wielkiej mierze — poprzez praktykę (bądź pracę w szpitalach, fabrykach itp.). W konkretnej pracy powiększają zasób swej wiedzy i uzasadniają swoje społeczne prawo zarówno do tytułu naukowego, jak i wykonywania zawodu.

Dlaczegóżby nie wprowadzić — powiedzmy np. — zawodowych praktyk wakacyjnych dla humanistów. Przyniosłoby to korzyści zarówno samym studentom jak i społeczeństwu. Uczyniłoby z nich pracowników komunikatywnych i społecznych.

Sprawa reorganizacji — choćby częściowej wydziałów humanistycznych wymaga szerokiej dyskusji. Ale ci, którzy np. znają bliżej metody pracy kulturalno-oświatowej poszczególnych związków zawodowych i wiedzą, ile dokonuje się niepotrzebnych błędów, jak nieraz nieporadnie prowadzi się akcję — tylko z powodu braku fachowców, rozumieją, że sprawa jest już rzeczywiście aktualna. I nie należy jej przemilczać. Przypuszczać też należy, że różne związkowe np. szkoły sprawę tę rozwiązują czasowo — w każdym bądź razie nie dostarczają pracowników wysoko kwalifikowanych.

Być może — albo raczej na pewno — przedstawione uwagi są niedostateczne. Ale intencją jest tylko wywołanie dyskusji — która przyczyniłaby się do rozwiązania niewątpliwie poważnego zagadnienia.

Witold Jedlicki

Wiara i historia *)

Rozgłos i wściekłe ataki krytyki międzywojennej wywołane ukazaniem się „Nieba w płomieniach" przypominają ową niezwykle interesującą dyskusję jaką przywitano kilkanaście lat wcześniej pojawienie się „Przedwiośnia" Stefana Żeromskiego; dyskusję sprowadzającą się do dylematu: czy „Przedwiośnie" jest czy nie jest powieścią komunistyczną. Jest rzeczą nie ulegającą najmniejszej wątpliwości, że zarówno insynuować Żeromskiemu komunizm, jak i Parandowskiemu ateizm mogli jedynie ludzie specjalnie predysponowani do wykrywania przejawów żydokomuny w naszej literaturze; że nie trzeba było nawet zapowiedzianych dalszych tomów tych powieści, aby przekonać się, jak dalekim od komunizmu był Żeromski i jak bardzo katolicką powieścią jest „Niebo w płomieniach".

* * *

Przedmiotem opowiadania Parandowskiego jest pewien stereotyp. Młody chłopak, gimnazjalista Teofil Grodzicki, po dojściu do wieku, w którym normalnie rozpoczyna się krytyczne myślenie, poddaje w wątpliwość prawdy wiary, których go nauczono. Wszystko rozgrywa się w ramach niesłychanej przeciętności psychologicznej, przez co zresztą czytelnik nabiera wiary w prawdopodobieństwo przeżyć bohatera. Grodzicki nie wpada na żadne pomysły sam, lecz naskutek przypadkowo przeczytanej książki („Vie de Jésus" — E. Renana). Ta książka staje się impulsem do dalszych badań krytycznych nad prawdami wiary, a badania te stają się — oczywiście czasowo — jedyną namiętnością życiową Teofila. Prowadzi on akcję uświadamiającą wśród kolegów, których zaznajamia z wynikami swoich prac. Sprawa nabiera rozgłosu. W domu próbuje się przeciwdziałać perswazją i kontrargumentacją (ojciec z zapałem czyta w nieco spóźnionym wieku dzieła apologetyczne w celu przekonania syna); w szkole sankcjami karnymi. Wszystko zostaje zatuszowane dzięki pozycji społecznej ojca Teofila, który obiecuje wystarać się o awans prefektowi, uczącemu religii w szkole syna.

Autor ma oczywiście dwie możliwości ustosunkowania się do takich faktów: albo zająć stanowisko obiektywnego narratora, albo subiektywnego komentatora. Przy czytaniu „Nieba w płomieniach" ma się wrażenie, że Parandowski sili się na obiektywizm... niestety — tylko do str.242. Dokładnie na str. 242 Parandowski stwierdza, że metamorfoza światopoglądów Teofila była jedynie zmianą wiary. „Teofil po miesiącach nieporadności wewnętrznej — czytamy na stronie następnej — znów wierzył i znów miał szereg świętych wyrazów, którymi się krzepił. Substancja, energia, przyczynowość, ewolucja, atom — takie były teraz imiona bóstw zawartych w cząstkach czasu lub w cząstkach przestrzeni, jak starorzymskie indigitamenta". Dalej Parandowski opisuje, jak Teofil dał się przekonać o prawdziwości hipotezy eteru kosmicznego i stwierdza: „Umysł od dzieciństwa przyzwyczajony do pojmowania niepojętego z radością powitał ten nowy dogmat". W następnym zdaniu Parandowski obdarza już eter kosmiczny terminem: „Serafin kosmosu".

Cały ten komentarz jest niewątpliwie następstwem owej racji głębokiej, głoszącej, że człowiek musi w coś wierzyć. Dlaczego? Mam wrażenie, że są dwie motywacje tego faktu: dlatego, że taka jest natura ludzka i dlatego, że rozum ludzki nie jest w stanie ogarnąć tajemnic wszechbytu.

Recenzując „Skutych i wolnych" Krzywickiej („Wieś — 25/48) pisałem, że Krzywicka dobrze wiedziała, od której strony uderzyć pozytywizm. Parandowski ma nie mniej negatywny stosunek do pozytywizmu, niż Krzywicka, tym nie mniej uderza go od strony bardzo fałszywej. Naprzód odważnie przyznaje (wynika to jasno z fabuły książki), że katolicyzm nie ma i nie może mieć racjonalnych argumentów na uzasadnienie swoich tez. Po tym stwierdzeniu następuje pocieszenie: pozytywistyczny ateizm nie jest w lepszej sytuacji. Dlaczego? Dlatego, że pozytywiści byli naiwni wierząc w nieograniczone możliwości poznawcze umysłu ludzkiego. Dlatego, że zastąpili prawdy wiary szeregiem wyjaśniających mechanizm zjawisk hipotez, które nie dały się utrzymać w dalszym rozwoju nauki. Wobec tego nadzieje zostały zawiedzione, idea zbankrutowała. Teofilowi Grodzickiemu nie pozostaje nic innego, jak nawrócić się na katolicyzm.

Przyjrzyjmy się temu rozumowaniu. Wydaje mi się, że są w nim dwa błędy: błędna przesłanka i błąd w samym rozumowaniu.

1. Nieprawdą jest, że pozytywizm wierzył w nieograniczone możliwości poznawcze umysłu ludzkiego. Kierunki filozoficzne wyrosłe na gruncie pozytywizmu, bądź, jak pragmatyzm wychodziły z założenia, że nie mamy żadnych sprawdzianów zgodności z rzeczywistością, bądź, jak behawioryzm czy neopozytywizm przyznawały, że istnieje cały szereg zagadnień nierozstrzygalnych i z tej racji dążyły do wyeliminowania z nauki wszelkich rozstrzygnięć pozornych. Zresztą pocóż mamy z tego wnioskować. Możemy lepiej sięgnąć do Augusta Comte'a, który w „Rozprawie o duchu filozofii pozytywnej" nazywa fazę pozytywną rozwoju ludzkości „epoką, w której rozum ludzki okazał się wreszcie dość dojrzały, aby zrezygnować jawnie z niedostępnych dla siebie dociekań, ograniczając się słusznie do badania tego tylko, do czego jesteśmy zdolni", a gdzieindziej mówi, że „rozum ludzki jest bardzo słaby wobec nader skomplikowanego wszechświata".

2. Parandowski stara się wyraźnie zasugerować tezę, że nauka w pozytywistycznym jej ujęciu była tylko pozornie racjonalistyczna, że w rzeczywistości była jakąś specyficzną religią rozumu, o czym świadczą owe hipotezy, które z racji, iż nie były dostatecznie uzasadnione, spełniały de facto rolę prawd wiary. Jestem osobiście przekonany, że na terenie nauk przyrodniczych i dzisiaj pokutuje niezliczona ilość hipotez, które kiedyś będą obalone, względnie zastąpione bardziej uzasadnionymi. Czy z tego wynika, że uczeni posługujący się tymi hipotezami są fideistami? Chyba nie.

Ale atak Parandowskiego na pozytywizm idzie jeszcze od innej strony. Parandowski stawia zarzut, że pozytywizm nie uwzględnił pewnych ponadczasowych właściwości psychiki ludzkiej. Jedną z takich właściwości — o czym już wspomniałem — jest konieczność wiary.

„Ateizm jest wiarą żywych, zdrowych i silnych, wiarą ludzi, którzy w jakiejś cząstce duszy ukrywają przekonanie, że nigdy nie umrą" — tę głęboką prawdę wypowiada umierający kolega Teofila. Ów biedak jest umierający, chory i słaby, dlatego zadaje sobie pytanie: „Jakże bym miał iść do ziemi bez Boga?".

Wielokrotnie pytałem wierzących katolików, skąd mają pewność, że Bóg istnieje? Odpowiedź otrzymywałem zawsze podobną, mniej więcej w tym stylu: ja nie wiem, czy Bóg istnieje, ale czegóż mógłbym być pewien (albo na czym mógłbym się oprzeć), gdybym przyjął, że Bóg nie istnieje. Ta pragmatystyczna postawa życiowa wierzącego katolika wydaje mi się bardzo powszechna; podziela ją również umierający Kościuk, nie mogący pogodzić się z myślą, że jego istnienie się kończy i na podstawie tego przeświadczenia budujący swój światopogląd.

Tak więc konieczność wiary jest jedną z cech konstytutywnych koncepcji człowieka Parandowskiego. Człowiekowi nie wystarczy rozum. „Czemuż to z takim zapałem upominać się o nicość? Po cóż to po gruzach wiary, w szalonym uniesieniu, jakby się szło po najwyższe szczęście dążyć do niebytu?" — pyta umierający Kościuk. Człowiekowi nie wystarcza rozum. O tym nas poucza przecież symboliczna scena, gdy Teofil Grodzicki sprzedaje książki, aby za otrzymane pieniądze móc pójść do kina z ukochaną. Człowiek nawet wbrew własnej woli musi wierzyć i musi kochać. „Wiara i czucie silniej mówią do mnie, niż mędrca szkiełko i oko". Tylko, czy ta problematyka nie jest już nieco przestarzała?

Zarówno pozytywiści, jak i Parandowski wychodzili z jednego wspólnego i słusznego założenia: że istnieją zagadnienia nierozstrzygalne. Tylko wnioski były inne. Pozytywiści postanowili się więcej zagadnieniami tymi nie zajmować. Parandowski zrezygnować nie chciał i doszedł do czegoś, co stoi na pograniczu mistycyzmu i pragmatyzmu. Osobiście sądzę, że słuszność leżała po stronie pozytywistów.

Na uwagę zasługuje w książce jeszcze jedno: synchronizacja przemian światopo-

*) J. Parandowski „Niebo w płomieniach". „Czytelnik" — 1946 (wznowienie).

gładowych bohatera z charakterem epoki. Teofil Grodzicki żyje istotnie w czasie, kiedy cały pozytywizm staje się bardzo niepopularny. Henri Bergson naucza, że cała dotychczasowa filozofia była albo krytyką nauki w imię czystości poznania, albo krytyką poznania w imię niezawodności praw naukowych; on zaś uważa obie wartości za wątpliwe i podważa je w imię najdoskonalszego środka poznawczego — intuicji. Największe autorytety naukowe pozytywizmu chwieją się. Poddaje się w wątpliwość teorię doboru naturalnego Darwina, znajduje się wypadki przeczące ogólnemu prawu biogenetycznemu Ernesta Haeckla, w dziedzinie tak bardzo interesującej Teofila Grodzickiego wykazuje się błędy rzeczowe w owej książce Renana, tak świetnie napisanej i w rzeczywistości tak niesłychanie egzaltowanej i nie naukowej. Mallarmé, Cézanne i Debussy przezwyciężają istotnie bardzo zły smak w sztuce, panujący w okresie pozytywizmu. W Polsce Mieczysław Karłowicz poszukuje w terminologii wszechbytu i odwiecznej tęsknoty tytułów dla swoich poematów symfonicznych. Staje się popularny nowy styl życia: nie jeden Teofil Grodzicki tworzy nowe hierarchie wartości, w których zajęcia erotyczne są wyżej cenione od intelektualnych.

* * *

„Nie bierz sobie tak do serca poglądów uczonych, które są po to, aby inni uczeni mogli je zbijać; ucz się pilnie, bo to ci da kawałek chleba, ale nie masz obowiązku wierzyć w nic oprócz tego, co kościół katolicki podaje do wierzenia" — takiej nauki moralnej udziela ojciec synowi (str. 28). Ojciec Teofila Grodzickiego jest przedstawicielem tej nawskroś katolickiej władzy państwowej, jaką była władza austriacka. Ośrodki myśli ateistycznej w owej epoce, jak ją parodiuje Bruno Schulz w „Sanatorium pod klepsydrą" całkowicie ograniczonej Franciszkiem Józefem I, mieściły się wyłącznie na uniwersytetach i prawnie zakazane było przeniesienie się jej chociażby na teren szkoły średniej. Mieszczanin (zwłaszcza jeśli był na rządowej posadzie) miał liberalno-pobłażliwy stosunek do tych „uniwersyteckich mętniaków". Mieszczaninowi jeszcze wciąż wystarczał Bóg.

Nie wiem, jakie będą dalsze dzieje Teofila Grodzickiego. Ale jedno wydaje mi się pewne. Synowi mieszczańskiemu Teofilowi Grodzickiemu Bóg już nie będzie potrzebny. Syn mieszczański Teofil Grodzicki myśli przecież o amarantowym sztandarze z białym orłem pośrodku, z chwilą, gdy dowiaduje się o wybuchu wojny. Syn mieszczański pójdzie do legionów. Ale wnuk owego mieszczanina z epoki Franciszka Józefa I pójdzie już do ONR-u.

Witold Jedlicki

Dyzma Gałaj

Młodzież na widowni

Grupy społeczne młodzieży rozpatrywać trzeba zawsze w kontekście innych grup oraz w ich społecznej funkcji. Młodzież jest jednostką zbiorowego działania i działaniem tym uczestniczy w dokonywujących się obecnie w Polsce przegrupowaniach strukturalnych społeczeństwa. Akcent ważności przeniesiony został na grupę chłopsko-robotniczą, a ostatnimi czasy coraz większą wagę przykłada się do spraw wychowania i młodzieży, co jest dowodem, że wyraźnie znajdujemy się w konstruktywnym okresie rewolucji. Dotyczy to zarówno przemian rzeczowych w zakresie kultury, jak i strukturalnego układu grup i warstw społecznych. Jeżeli bowiem chodzi o młodzież, to zniknęły działające przed wojną organizacje o ideologii konserwatywnej, a pracę rozpoczęły związki posiadające w swoich deklaracjach programowych elementy walki o demokrację ludową. Wymieniamy tu zatem ZMW RP Wici, OMTUR, ZWM, i ZMD. W tych to organizacjach dokonuje się proces aktywizacji i dojrzewania społecznego młodzieży w aktualnym okresie rozwojowym narodu polskiego. W tych to również organizacjach dojrzała w bieżącym roku idea ideologicznej i organizacyjnej jedności.

MŁODZIEŻOWE TRADYCJE JEDNOŚCIOWE OKRESU SANACYJNEGO

Życie młodzieżowe okresu sanacyjnego poszufladkowane było na szereg pozornie różnych organizmów społecznych. Notujemy w tym czasie organizacje opozycyjne i współdziałające z rządem, chłopskie, robotnicze i inteligenckie, polityczne i rozrywkowe, samodzielne i patronackie. Ilość ich i charakter zakłada teoretycznie duże zróżnicowanie ideologiczne. Powierzchowna obserwacja podtrzymuje ten osąd, gdyż działalność Wici czy OMTUR różni się przecież od działalności młodzieży KSM czy ONR. Ale różnice te widoczne są tylko w szczegółowym postępowaniu i w szczegółach założeń ideologicznych. Legalne działanie w ramach tego samego narodu i tego samego państwa zamazuje ich ostrość, zezwalając na względnie zgodną współpracę antagonistycznych grup. Istnieje tutaj problem **poprawienia obrazu społeczno-gospodarczego** lub jego utrzymania w stanie dotychczasowym. Obraz ten jednak w zasadzie zostaje i jest właśnie ośrodkiem współdziałania. **Proces ten nie dotyczy grup rewolucyjnych, zmierzających do kompletnego usunięcia stanu dotychczasowego i zaprowadzenia nowego porządku.** O tej technice kompromisu pisze prof. J. Chałasiński: „antagonistyczne grupy znajdują drogi porozumienia i współdziałania na wyższej płaszczyźnie przynależności do grup bardziej ogólnych — narodu czy całego imperium — w ramach których wspólnie realizują zadania narodowe czy cywilizacyjne. Można stwierdzić ogólną prawidłowość socjologiczną polegającą na tym, że nieprzenikalność wzajemna grup społecznych słabnie, gdy powstaje nadrzędna grupa ogarniająca antagonistyczne grupy". („Społeczeństwo i wychowanie" str. 204).

Tworzy się zatem w okresie przed 1939 r. nieorganizacyjna jedność młodzieży, związanej podświadomym najczęściej kompromisem w sprawie realizacji wspólnych narodowych i państwowych celów. Dzisiejsza obrona agraryzmu przez wiciowych schyłkowców jest tego wyraźnym dowodem. Mienili się być rewolucjonistami, a byli tylko niegroźnymi oponentami **w swoim, narodowo-państwowym, kapitalistycznym organizmie.**



Józef Ozga Michalski.
Sekretarz C.K.J.M.

Ale tradycje jednościowe tego typu nie wyczerpują całokształtu dążeń młodzieży polskiej w latach międzywojennych. W ramach działających legalnie lewicowych związków istnieją grupy, które wspólnie z młodzieżą komunistyczną tworzą świadomie jedność nowego typu. Jest to jedność chłopów i robotników, jedność przeciwko wrogiemu ustrojowi kapitalistycznemu, jedność postępu i dążeń do społecznej sprawiedliwości. Wyrazem tej jedności jest oblicze „Chłopskiego życia gospodarczego", a przede wszystkim „Deklaracja praw młodego pokolenia Polski" opracowana wspólnie przez przedstawicieli młodzieży komunistycznej, wiciowej



Gen. Janusz Zarzycki
Przewodniczący C.K.J.M.

i TUR. W deklaracji tej widzimy oprócz bezkompromisowych żądań praw dla młodzieży ludowej, projekt zwołania kongresu krajowego antyfaszystowskiej, postępowej młodzieży. „Na oryginale deklaracji widnieją podpisy (w porządku alfabetycznym): Anselm Konstanty, Beninger (OK TUR Warszawa Podm.), Burek Wincenty, Dembiński Henryk, Drzewiecki Bronisław, (wykładowca Uniwersytetu w Gaci), Fołta Franciszek (Z.Gł. „Wici"), Fołta Władysław („Wici"), Kubicki Piotr (KW TUR), Skuza Wojciech, Szenwald Lucjan, Trzcińska Cecylia (Z. G. Wolnomyśl.), Wasilewska Wanda, Zapasiewicz Zbigniew". (Cyt. „Po prostu" — 20.III. 1936 r.).

To jest drugi nurt tradycji jednościowych młodzieży polskiej. Ten właśnie nurt jest wzorem dla współcześnie działających organizacji młodzieżowych. Ten nurt dynamizuje młodzież i dokonuje przestawień w ramach tradycjonalnych grup społecznych, włącza młodzież w wszechstronny wyścig pracy i dokonuje procesu uświadomienia społeczno-politycznego przez realizację konkretnych postanowień i zadań.

DZISIEJSZA SYTUACJA MŁODZIEŻOWA

Formalnie jedność działających obecnie organizacji młodzieżowych dokona się 22 lipca br. na kongresie we Wrocławiu. Faktycznie jednak proces ten trwa od dawna i trwał będzie jeszcze dłuższy okres czasu. Trochę sprzyjać, ale i przeszkadzać będą rekwizyty ideologiczne poszczególnych związków, tradycje prac, oraz obciążenia kulturowe całego naszego społeczeństwa. Trudno bowiem uciec od historii, która nas w taki sposób „urządziła". Niemniej jednak, jak przystało na rewolucyjne działanie, przeżytki dawnych instytucji młodzieżowych i innych są niszczone lub pełnią nowe funkcje, oraz tworzone są nowe, przeznaczone do organizowania innego życia.

Problematyka młodzieżowa w Polsce streszczać się będzie obecnie głównie w dwóch zagadnieniach. Pierwsze, to związek ideologiczny, zrzeszający młodzież dobrowolnie do niego należącą i drugie — Powszechna Organizacja „Służba Polsce", która obejmie bez większych wyjątków pięć roczników młodzieży. Zbieżność celów tych dwóch organizacji jest mimo formalnych i organizacyjnych różnic aż nadto widoczna. Członkowie ich całą siłą grupy, do której należą, służą Polsce. Jest tylko różnica świadomości tej służby. Gdy bowiem junacy „Służby Polsce" uczą się dopiero swoich praw i obowiązków w Polsce Ludowej, uczą się rozumieć postęp i „zamieniać pioruny w elektryczne światło", to członkowie Związku Młodzieży Polskiej są, czy w najkrótszym czasie będą, w tym zakresie świadomymi przodownikami i nauczycielami. W sumie należy stwierdzić, że **dzieje młodzieży będą ściśle związane z dziejami narodu i dziejami Państwa,** a za jego pośrednictwem z dziejami całego świata.

Walka o dobrobyt, o postęp, o społeczną sprawiedliwość dla całego narodu dokonuje się w ramach nadrzędnej grupy — narodowej. Do walki tej włącza się, świadomie czy nieświadomie, wszystka młodzież. Walka ta tworzy jedność całego młodego pokolenia Polski.

WIEŚ A JEDNOŚĆ MŁODZIEŻOWA

Trwoga nowości łatwiejszy ma dostęp do ludzi na wsi, niż w mieście. Taką jest tradycja kultury ludowej. Postarała się o to szlachta i księża, a niewiele pożyteczniejszymi okazali się w tej sprawie i ludomańscy działacze z przełomu XIX i XX wieku. Wiadomo — brak szkoły, autorytet starców, znachorów, rozmaitych owczarzy i natchnionych dewotek, musiał zaciężyć na społecznym kształcie warstwy chłopskiej. W okresie ludomańskiej akcji zatwierdzono wzór chłopa-sąsiada, o wyimaginowanych „rodzimych" cechach i wartościach. Pomagano szlachcie i duchowieństwu w jego społeczno-kulturalnym odróżnianiu. Uszykowano mu szufladkę wiejską i namawiano do radości i dumy z siebie. To zgubne samouwielbienie trwało prawie do dziś. Ale przyszedł czas na rewizję tych poglądów. Wyniki stwierdza marsz. Wł. Kowalski, który na ostatnim Walnym Zjeździe ZMWRP Wici mówił: „Tak więc w okresie od poprzedniego zjazdu usunęliście ze swej drogi wszystko to, co młodzież chłopską zatrzymywało w opłotkach wiejskiego getta i nie pozwalało tej młodzieży wyjść na szeroką drogę wszechstronnego ludzkiego rozwoju. Nasi reakcjoniści gotowi byli przyznać chłopu wszystkie cechy charakteru, wszystkie zalety, prócz jednego: nie chcieli w chłopie uznać człowieka. Bo chłop-człowiek stawał się niebezpieczny dla panowania wyzyskiwaczy; natomiast zakłamany i odizolowany od reszty ludzi pracy chłop stawał się doskonałym obiektem dla wyzysku. I oto wy, Wiciarze, daliście już należytą odprawę endeckiej teorii o chłopie z innego ciała i o innej duszy, odmiennej od wszystkich innych ludzi. Oblekając chłopa w zwykłe ludzkie ciało i przywracając chłopu ludzką duszę, kładziecie raz na zawsze kres spekulacji na temat: czym są nasi chłopi? jakie są ich dążenia? czego oni pragną?"

Marszałek Kowalski trafnie odtworzył myśli delegatów na Walny Zjazd Wici. Dla nich okres „sami sobie" jest już kategorią historyczną. W dyskusji mówili, że **chcą być zwykłymi, normalnymi członkami narodu.** Chcą mieć **normalne** szkoły, domy, światło, drogi, narzędzia pracy, gazety, książki. Chcą **normalnie** żyć i dlatego wniosek na temat jedności młodzieży przyjęty został przez 936 delegatów frenetycznymi, długo nie milknącymi oklaskami. Chcą pracować razem, chcą zburzyć zapory przeszkadzające dotychczas w swobodnym współżyciu ludzi miast z ludźmi wsi.

Jeśli zatem porównamy sytuację dzisiejszą wsi z dawną—z okresu, gdy sprawy tradycyjnej rodziny, sąsiedztwa, parafii, dworu, a co najwyżej okolicy okupowały myśli i absorbowały wszystek wysiłek zaniedbanych przez szeroki świat chłopów, to fakt ten może przynieść w wyniku optymistyczny nastrój u każdego rozsądnie myślącego człowieka.

PERSPEKTYWY

Gorki powiedział gdzieś, że **„nie pracujący — to nie ludzie, a tylko istoty podobne do ludzi".** U niego wychowanie wiąże się ściśle z pracą — istotą człowieczeństwa. Tę zasadę również widać w deklaracjach związków młodzieży mających stworzyć jedną organizację. Według tej zasady postępują junacy w „Służbie Polsce". Ta zasada ma być decydującym czynnikiem w organizacji życia. Ma ona wyprzeć pozostałości hedonistycznej postawy dominującej w dawnej Polsce grupy inteligencko-mieszczańskiej i tym samym przyczynić się do wprowadzenia nowych odruchów i nawyków decydujących o stylu życia, o kulturze.

Przyszłość młodzieży musi być związana z twórczą pracą. Młodzież sięga po wiedzę jako specyficzną społeczną wartość. Za jej pośrednictwem i przy jej pomocy tworzy ciągle nowe społeczeństwo. Bogaci jego treści. Splata się i wiąże z nimi przechodząc tym samym świetną szkołę uspołecznienia i uobywatelnienia. Bierze czynny udział w realnym życiu społeczeństwa. Wiedza daje jej klucz do odkrycia tajemnic walki z przyrodą. Daje jej możność zwyciężania, udoskonalania. Daje jej możność prowadzenia wyścigu i entuzjastycznego życia. Wiąże ją przez warsztat i produkcję i czyni nieodzowną, niezastąpioną w określonych dziedzinach życia i pracy.

Taką powinna być przyszła atmosfera życia młodzieży. Jak ją osiągnąć?

Mówimy o jednej organizacji młodzieży dojrzałej i o jej przygotowaniu do życia w społeczeństwie starszych. Mówimy o doniosłym znaczeniu zjednoczonego związku młodzieży, jak również o wyszkoleniu społeczno-zawodowym przez pracę w „Służbie Polsce". Ale w sprawach wychowania, w sprawach przygotowania do działania w związku młodzieży wielką rolę do odegrania ma również szkoła. Bo przecież, jeśli mówimy o jakiejś zgodnej, pełnej jedności młodzieży, to rozumiemy, że jej podstawą będzie jedność po-



Stefan Ignar
Prezes Z.M.W. R.P. „Wici"

znawcza, naukowa. Wspólna postawa poznawcza wyniesiona ze szkoły i powiązanie się ze społeczeństwem przez realizację postawionych zadań jednostce przez grupę przyniesie wspólną postawę ideologiczną. Chodzi więc o dalszą rewizję programów szkolnych, o dalszą poprawę podręczników, o stosunek nauczyciela do ucznia, o stosunek do wiedzy. Już w szkole powinny zarysować się realne zadania młodzieży i powinno się czynić ją odpowiedzialną za ich rozwiązanie. Działalność w organizacjach będzie wtedy tylko kontynuacją i dalszym rozwijaniem aktywnej już postawy działającej młodzieży.

Wytworzy się zatem z młodzieży zupełnie nowa grupa społeczna o zupełnie nowym znaczeniu. Równocześnie zjawi się problem powołania do życia nowych instytucji, za pośrednictwem których rozwinie ta grupa działalność.

Jakie to będą instytucje? Sądzę, że ich główną i wspólną cechą będzie **masowe działanie.** A więc kilka przykładów — **instytucja współzawodnictwa w pracy.** Dotyczy ona wyścigu w przemyśle, kopalniach, rolnictwie, szkole, organizacji i w każdej dziedzinie życia. Celem jest zwycięstwo w produkcji. Drugą może być **instytucja walki z analfabetyzmem.** Wszyscy młodzieżowcy-szkolniacy plus co zdolniejsi członkowie uczą wtedy sztuki czytania i pisania. Mając do tego odpowiednie warunki i działając masowo poczują się natychmiast niezastąpieni i pożyteczni. Poza tym kilkadziesiąt tysięcy licealistów i studentów wyższych uczelni mogłoby co pewien czas (a w czasie ferii dość systematycznie) obdarować wieś, osadę, czy świetlicę w mieście jakimś planowo obmyślonym referatem, jakimś odczytem, jakimiś fachowymi doradami i tym sposobem powodować wzrastanie świadomości społecznej, wiązanie się grup i podnoszenie poziomu życia. (Patrz „Wieś" nr. 17 (146) art. J. A. Króla — „W promieniu pięćdziesięciu wsi"). W działaniu tym pełniliby rolę nerwów obiegających i wiążących cały organizm państwowo-społeczny.

Weźmy jeszcze dla przykładu walkę z alkoholizmem lub innymi chorobami społecznymi. Weźmy sprawę obsadzenia owocowymi drzewkami dróg. Weźmy sport, budowanie boisk, walkę z chwastami, naukę zawodu, zwykłe zakładanie gnojowników i kup kompostowych na wsi, budowanie szkół, świetlic, domów ludowych i tysiące innych zadań, które przy masowym działaniu przyniosą ogromne wyniki.

Nowa młodzież działa w nowej funkcji społecznej, tworząc nowe instytucje i wprowadzając przy ich pomocy nowe treści kultury. Realizuje konstruktywnie rewolucję. Tworzy nowy naród. A za pośrednictwem Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej buduje nowy świat.

Wiesław Jażdżyński

NOTATKI Z CZECHOSŁOWACJI

1.

Nasz przewodnik po niezniszczonej, złotej Pradze stanowił zanikający okaz gawędziarza. Pamiętam podobnego w Polsce, kiedy przed wojną, oprowadzając nas, licealistów, po Sali Królewskiej na Zamku w Warszawie powiedział tak: proszę zwrócić uwagę — klameczki bardzo stare, mebelki nieco późniejsze.

Praski cicerone zatrzymał samochód na moście Karola i wskazując ręką na krzyż przy balustradzie powiedział:

— Proszę zwrócić uwagę, z tego oto miejsca zrzucono do wody św. Jana Nepomucena za to, że nie chciał wyjawić królowi z jakich grzechów spowiadała się jego małżonka. I nikt się o tym nie dowiedział, bo jak zapewne bracia Polacy wiecie — spowiedź jest świętą tajemnicą.

— No a z czego spowiadała się królowa?— zapytałem.

— Jakto, nie wie pan? Kochała pewnego giermka.

W renesansowym pałacu Wallensteina przystanęliśmy na obszernym podwórcu. Mury wyłożono czarnym kamieniem. Przypomina to do złudzenia zastygłe potoki lawy.

— Kamień ten — objaśniał nasz praski cicerone —. spojono masą z 5.000.000 jaj. Ten jedyny w historii kogel-mogel przygotowywały podobno setki ludzi. Gdyby tak Praga miała dzisiaj te jaja z powrotem!

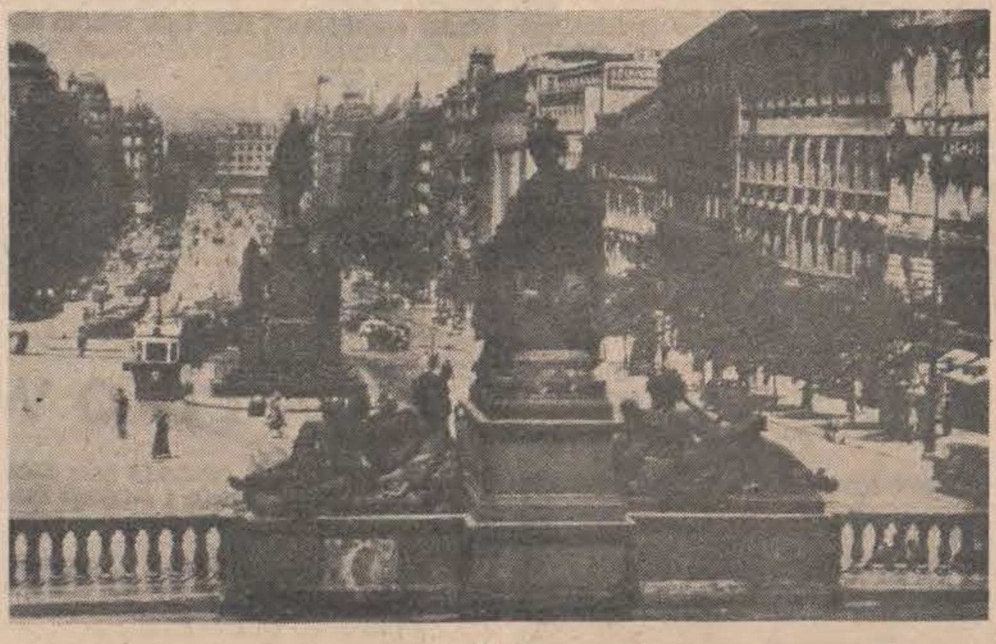
Na Starym Rynku, obok pomnika Husa, nasz cicerone rozrzewnił się.

— Tu, bracia Słowianie, stały pamiętnego roku 1945 aż trzy niemieckie armaty i strzelały przez cały dzień. Oto jakie spowodowały zniszczenia!

Wskazał ręką na uszkodzony ratusz i zniszczony przy nim dom. Ha! To się nazywa czcić pamięć narodową. Jeden tu zabity przez Niemców ma już tablicę pamiątkową, dwu — pomnik na rynku, dziesięciu — święto. W Pradze i całym kraju pokazuje się każde miejsce oporu przeciw Niemcom.

Niechże to będzie i u nas! Ileż wsi należałoby odznaczyć krzyżem Grunwaldu czy Virtuti Militari i ile pól bitewnych pokazać nie tylko zagranicznym gościom, ale nawet samym Polakom?

Pamiętajcie!



Praga

2.

W 20-tysięcznym Hodoninie naliczyłem trzy pomniki. Nie to mnie zdziwiło, że aż trzy, ale że wszystkie sławią pamięć zasłużonych obywateli tegoż Hodonina. W szkole miejskiej, tzw. „mieszczance" — tablica z nazwiskiem jej fundatorów. Na dworcu okazała tablica mówi za którego to burmistrza przeprowadzono tędy linię kolejową. Co druga ulica nosi imię tutejszego obywatela, oczywiście zasłużonego, co trzeci z nich był burmistrzem.

Pośrodku miasteczka piękny, barokowy ratusz z wieżą. Na czubku ruchomy blaszany kogut — pokazuje mieszczanom skąd wiatr wieje.

Tyle zdążyłem zauważyć przed oficjalnym powitaniem naszej delegacji.

Pan burmistrz ubrany odświętnie przywitał nas na progu barokowego ratusza i powiódł uroczyście do wielkiej sali Rady Miejskiej.

— Oto moi poprzednicy!

Zadarliśmy głowy. Ściany ozdabiał szeroki szlak ornamentacyjny. Tworzył go rząd portretów dawnych burmistrzów. Było ich chyba z pięćdziesięciu. W pierwszej chwili pomyślałem, że wiszą tu „ojcowie miasta" od czasów Jana Husa. Nie, dopiero od lat 1890-tych. A że panowali miłościwie jeden w drugiego po trzy lata, albo nawet i krócej, więc sie ich tylu bez kłopotu nazbierało.

Popatrzyłem raz jeszcze na portrety pięćdziesięciu burmistrzów Hodonina. Wszyscy mieli, kubek w kubek, ten sam wyraz twarzy — ludzi, którzy są przekonani, że robią historię.

Otóż to!

W latach 1890-tych wielka burżuazja czeska osiągnęła najwyższe stadium kapitalistycznego rozwoju. W jej cieniu dorastała odtąd młodsza siostra — drobne mieszczaństwo z Mikulovów, Hodoninów, Breclavów i wszystkich innych prowincjonalnych miasteczek. I kiedy grand bourgeois zbudował wielkie centra fabryczne i skumulował w bankach potężny kapitał finansowy — zapatrzony weń petit bourgeois uczynił to samo. Tylko, że w miniaturze — mniejsze fabryczki, spółki akcyjne lokalnego zasięgu, średnie przedsiębiorstwa handlowe, no i — sklepy. Setki sklepów w każdym miasteczku. Historia toczyła się prosto. Budowano z inicjatywy obywatelskiej łaźnie miejskie, gimnazjum, trzy pomniki, dworzec kolejowy, teatr i znowu pomnik, jeszcze jeden kościół, fabryczkę maszyn rolniczych dla okolicznych chłopów i nazwano ulicę imieniem założyciela ochronki. Równocześnie wieszano regularnie portrety burmistrzów w sali Rady Miejskiej. Tak narastała historia miasteczka, jego tradycja i duma z czynnego uczestnictwa w dziejach narodu.

A nasze miasteczka? Przede wszystkim — czy my w ogóle mamy miasteczka w środkowej Polsce. No, bo, czy można tak nazwać skupiska ludzi, gdzie jak na wsi mówi się, że gospodarka dobrze idzie, bo żony umierają, a rodzą się źrebięta i jak w mieście próbuje sie założyć przedsiębiorstwo dla handlu mąką? To jest przecież prawda, że w różnych Włoszczowach czy Pińczowach właściciel małego warsztatu mechanicznego pasie równocześnie bydło i sieje pszenicę.



Wieś morawska. Wnętrze domu

Po kim mogłyby dziedziczyć nazwiska ulice Szczekocin? Po proboszczu, który znał w życiu tylko dwie drogi: z plebanii do kościoła i po kweście? Albo może po drobnym handlarzu norymberszczyzną?

Można Czechom zazdrościć, że ich drobne mieszczaństwo stało się warstwą historycznie twórczą. Ale nie ma chyba powodu rozpaczać.

Pustka historyczna, w jakiej zawisły nasze miasteczka, daje jednak możliwość nieskrępowanego tradycją z minionej już epoki — startu w nowe dzieje. Od nich będzie nasze drobne mieszczaństwo snuć swoją pierwszą historię. Ta sama nowa epoka nadeszła i do Czech. Ale mieszkańcom Hodonina nie będzie łatwo w nią wejść.

3.

Spółdzielnia rolnicza w Breclavie, choć oglądaliśmy ją przecież już w demokratyczno-ludowym ustroju — przypominała całkiem inne czasy. Mianowicie czasy I-szej, przedwojennej Republiki Czechosłowackiej, w której aż do końca wodziła rej partia bogatych chłopów — agrarna. Przywódcy tej partii z Beranem na czele zabrali się już od 1918 roku do aprowizowania państwa. Pozostała po nich pamięć o nadużyciach i aferach w cukrownictwie i gorzelnictwie. Pozostało jeszcze co innego. Partia Agrarna — współpartner czeskiego kapitalizmu — uruchomiła potężny kapitał finansowy poprzez zmaszynizowanie produkcji rolnej w gospodarstwach wielkochłopskich i ziemiańskich, oraz poprzez monopolizację przemysłu rolnego. Wielką pomoc okazały przy tym spółdzielnie rolnicze. Pewno i breclavska, sądząc z jej historii.

Pierwsi udziałowcy (jeszcze w międzywojennych latach) to 2000 drobnorolnych i 900 bogatych chłopów. Struktura spółdzielni była aż do lutego br. naprawdę liberalna, co znaczyło doniedawna — demokratyczna. Bo proszę bardzo: kto złożył większy wkład, otrzymywał wyższe dywidendy. W radzie nadzorczej mieli głos tylko poważnie partycypujący w spółdzielni chłopi. Minimum 1000 koron udziału. Stawkę tę podwyższono tak, że przed wypadkami lutowymi nie było już w spółdzielni ani jednego drobnorolnego. 900 bogatych tym się bynajmniej nie zmartwiło. Płynęły przecież z takiego stanu rzeczy rozmaite korzyści. A więc większe zyski, możność dalszego eliminowania współudziałowców przez podnoszenie wysokości wkładów, czy rozdział maszyn rolniczych między swoich członków.

Dziś zmieniono statut i obniżono wkłady. Głos ma na radzie każdy członek. Drobnorolni napływają znowu.

Ale działalność spółdzielni Partii Agrarnej pozostawiła wyraźne ślady w okolicy. Piszę to, bom widział. Właśnie złożyło się, że bezpośrednio po wizycie w breclavskiej spółdzielni zawieźli nas uprzejmi gospodarze do wsi Tvrdonice.

Na oko — wieś morawska wygląda rzeczywiście tak, jak ją opisał Jan Wiktor w którymś numerze „Młodej Myśli Ludowej" z ubiegłego roku: „W szopach narzędzia rolnicze wyczyszczone, gotowe do użycia w każdej chwili. Gnojownie betonowe z pompą. Czasem po szynach przesuwają się wózki odwożące nawóz z obory. Drób rasowy. Stajnie, obory, urządzenia według najpraktyczniejszych wzorów — obszerne, widne, wybielone. Bydło wymyte — wyszczotkowane. Wszędzie światło — elektryczne".

Cóż dziwić się, że Malinowski nie rozumiał istoty rozwoju czeskiego rolnictwa, oglądając je blisko pół wieku temu z Zaraniarzami, kiedy ostatnio sam przecież Wiktor wrócił z Czech urzeczony obrazem „przeciętnego" gospodarstwa.

Morelowe sady, sady wiśniowe, zielone winnice na łagodnych wzgórzach — cały ten uroczy pejzaż morawskiej wsi zachwyca aż do chwili rozmowy z czeskim chłopem. Odtąd już niepokoi.

Malecek, bogaty 20-hektarowiec z Tvrdonic, był dawniej członkiem Partii Agrarnej. Obecnie jest bezpartyjnym udziałowcem breclavskiej spółdzielni rolniczej. Maszyn ma tyle, że zbiera nimi wszystko z pola i młóci w ciągu jednego dnia. Maszyny starannie wyczyszczone stoją przez cały rok gotowe do wypożyczenia tym, którzy ich nie mają. W Tvrdonicach nie ma ich np. sąsiad Malecka — 4-hektarowiec Dvorak, członek partii komunistycznej. W okolicy istnieje wprawdzie państwowa stacja maszyn, ale niedostatecznie wyposażona, tak, że praktycznie Dvorak i prawie połowa wsi musi pożyczać maszyny rolnicze u bezpartyjnych bogatych chłopów. Oczywiście nie za darmo.

Od Malecka prowadzi droga do breclavskiej spółdzielni. Trzeba wobec tego wiedzieć, że w roku 1947, a więc przed lutym br., „chłopskie" spółdzielnie otrzymały 712 żniwiarek do rozdziału. Ponadto bogaci chłopi wykupili sami 4494 maszyny tego typu.

Od Dvoraka natomiast prowadzi droga do stacji maszynowych. W tym samym czasie otrzymały one zaledwie 10 żniwiarek — 3,3% ogólnej liczby rzuconych na rynek.

To jest właśnie pozostałość po działalności Partii Agrarnej — natchnienia niektórych polskich agrarystów. No, nic — nie martwmy się. Dvorak powiada, że teraz się odmieni na lepsze. Maszyn jest dużo, trzeba tylko uspołecznić ich użycie.

4.

Nie roszczę sobie pretensji do wiernego zapisu tego zdarzenia. Utkwiły mi w pamięci tylko niektóre szczegóły.

Z powiatowego miasteczka morawskiego — Breclava prowadzi asfaltowa szosa na południową Słowaczyznę. Chyba tędy nadszedł stary druciarz — Słowak. Zastałem go śpiącego pod przydrożnym krzyżem. Obok leżała zniszczona torba, pęczki drutu rozmaitej grubości i sękata laska

Nie pamiętam dokładnie, w jaki sposób doszło do rozmowy między nami. Zdaje się, że początkowo mówił niechętnie i dopiero na wspomnienie Polski ożywił się. Wtedy usłyszałem smutną i jakby skądś mi już znaną opowieść.

Ojciec i bracia druciarza wyemigrowali do Ameryki Północnej przed kilkudziesięciu laty, podobnie jak pół miliona innych Słowaków, podobnie jak miliony chłopów polskich z drugiej, północnej strony Karpat. No, a on inaczej. Do pierwszej wojny światowej chodził przez góry do dalekiej Warszawy na roboty budowlane. W okresach zahamowania robót włóczył się z setkami innych druciarzy — Słowaków po sąsiedniej Galicji i całej monarchii austro-węgierskiej. Mimo nędzy nie potrafił nigdy opuścić na stałe rodzinnych stron i wracał co roku na Podkarpacie, choć nie było poco. Jak daleko wstecz sięga pamięć druciarza — na Słowaczyźnie zawsze żyło się ciężko i źle. Kraj nawet w międzywojennych latach niedoinwestowany i nieuprzemysłowiony, nie dawał zbędnej na wsi ludności prawie żadnych szans na pracę w fabrykach. A przecież dosłownie o miedzę rozrosło się Pilzno, Zlin, Ostrawa Morawska, czy Witkowice. Cóż, kiedy znajdowali tam zatrudnienie przede wszystkim — czeski robotnik lub kwalifikowany — niemiecki. Nie było też szans na inne zajęcia. Urzędy i „wolne zawody" obsiadła inteligencja czeska. Po wypadkach lutowych zaczęto rozdawać chłopom ziemię, ale druciarz już jej nie weźmie. Jest za stary na gospodarkę. Dokona żywota na włóczędze od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka. Ma zamiar w tym roku pójść przez góry do Warszawy.

Zmierzchało, kiedym odchodził do Breclava. Czekali tam na naszą delegację przedstawiciele Rady Miejskiej z uroczystą kolacją. Mieli nam po niej pokazać ład i dostatek Breclava.

Obejrzałem się. Nad słowackim druciarzem zgasło słońce Przede mną bogate i starannie zabudowane miasteczko czeskie...

Jeżeli to prawda, że po każdej niemal wycieczce za granicę zostaje na długie lata w pamięci jakiś jeden obraz — to będzie nim napewno widok gasnącego słońca nad starym druciarzem słowackim, który już ziemi nie weźmie. Smutny relikt epoki kapitalistycznej.

5.

Sprawa czeskiego mieszczaństwa, jako klasy społecznej, trzymającej do niedawna w rękach sporą część produkcji przemysłowej i prawie cały handel — wypłynęła dosyć niespodziewanie na krótko przed naszym odjazdem do Polski.

Miałem dwa dni do dyspozycji, włóczyłem się więc wzdłuż Wełtawy, po wąskich uliczkach starego miasta. Zwiedzałem stare kościo-





Stroje morawskie

ły, wstępowałem do luksusowo urządzonych sklepów. Że zeszłoroczna posucha i nieurodzaj zmusiły Czechów do daleko posuniętego reglamentowania rozdziału żywności, o tym wiedziałem, nie mogłem jednak zrozumieć, czemu tak mało widzi się w Pradze artykułów włókienniczych, tym więcej, że mój towarzysz — Emil , student praskiego uniwersytetu zapewniał o dużej i wystarczającej produkcji. Dodawał przy tym znacząco, że to skutki działania ustroju ludowej demokracji.

Emil był swojego rodzaju curiosum. Orientował się na przykład zadziwiająco w nielegalnym i półlegalnym życiu Pragi.

Nie umiał mi nic powiedzieć o działalności otwartej przed kilku miesiącami Akademii Socjalistycznej, ale wiedział za to, że w takich lokalach rozrywkowych jak „Tabarin" lub „12 Apostołów" można dobrze sprzedać dolary (400 koron za sztukę), a nawet uzyskać paszport do Stanów Zjednoczonych.

Kiedyś zapytałem go o repertuar opery i teatrów praskich. Odpowiedział, że nie pamięta dokładnie i zaoferował się nagle zaprowadzić mnie do pewnego znajomego kupca, u którego można dostać każdy gatunek wełny ubraniowej.

Przyczynę braku artykułów włókienniczych na legalnym rynku odszukałem już bez pomocy Emila. Wystarczyła mi lektura „Rudego Prava".

Przewidując nadejście ustroju demokracji ludowej, handlujące mieszczaństwo czeskie wycofało z rynku blisko połowę wyrobów włókienniczych. Mogło to uczynić bez kłopotu, ponieważ sektor prywatny skupiał aż do lutego 75% obrotów handlowych, państwowy zaledwie 5%. 10.000 prywatnych przedsiębiorstw handlowych w Czechosłowacji wykazało przez rok 1947 55 miliardów koron obrotu, czyli 5.500.000 koron przypadło przeciętnie na jedną firmę. Stanowi to 44.000.000 złotych. Tyle na legalnym rynku, a ile na czarnym?

Nowy rząd ludowy uspołecznił prawie wszystkie przedsiębiorstwa handlowe. W czasie Zielonych Świąt przeszły ulicami Pragi dziesiątki tysięcy chłopów i robotników — nowych gospodarzy Republiki.

W „Tabarinie", u „12 Apostołów" odizolowani od nowych dziejów Czechosłowacji — nudzą się nad szklanką wina dawni gospodarze Republiki To są ci nieprzejednani, którzy już nie potrafią włączyć się w nową Słowiańską Europę.

W luksusowych lokalach rozrywkowych Pragi snuje się jeszcze coraz bledsze widmo kapitalizmu...

6.

Zagadnienie inteligencji czeskiej sprawującej wolne zawody — adwokatów, sędziów, profesorów, inżynierów, nierzadko nawet literatów — ujawniło się w czasie rozmów z Emilem. Emil, syn bogatego lekarza ze śródmieścia, miał poważne pretensje do nowego ustroju za doprowadzenie na wyższe uczelnie — synów kowali. Tłumaczył mi w czasie spaceru po Vaclavskich Namesti, że Gottwaldowa demokracja grozi zanikiem wszelkiej inteligencji, zapowiada straszliwe rządy hołoty. Cóż, Emil, jak zresztą duża część studentów praskiej humanistyki, był pod urokiem Gobineau i Chamberlaina.

Prosiłem go, żeby przeczytał sobie przemówienie wtedy jeszcze premiera Gottwalda, wygłoszone na Zjeździe pracowników kultury narodowej. Nie wiem, czy to uczynił. Bo Emil nie czyta prasy lewicowej. Jest przecież inteligentem.

Fragment, o który mi chodziło — wypowiedział Gottwald właśnie pod adresem inteligencji. Brzmi on tak: „...Przed kim ma ukrywać (inteligencja) wewnętrzną swobodę i niezależność? Przed ludem?... Nie bać się iść z pozostałymi warstwami ludu.... iść między nie... przekazywać im swoją wiedzę, nie bać się kadr nowej inteligencji, które choć wprawdzie nie mają w porządku ostatnich semestrów uniwersyteckich, ale mają wzamian duże praktyczne doświadczenie..."

Jeżeli Emil nie przeczyta, nie dowie się jeszcze i tego: „Wymieciemy i dziedzictwo, które po nich zostało, wszystkie fałszywe poglądy, które stwarzają rozdźwięk między pracującą ręką a duchem, obojętnie, czy są one płodem złej woli, czy nieświadomości..." Byłoby jednak szkoda Emila. Jest przecież młody i zdolny. Już dwa przeszło tygodnie czekam na list od niego, w którym miał mi napisać, co sądzi o mowie Gottwalda. List jakoś nie przychodzi. Niech się tymczasem zastanowi i nasza inteligencja nad słowami prezydenta Czechosłowaków.

7.

Kręci się kurek blaszany na ratuszu w Hodoninie — leci czas. Oddaję te notatki do druku w 2 tygodnie po powrocie z Czechosłowacji. Stary druciarz idzie już pewno przez góry do Warszawy, Dvorak otrzymał już może maszyny rolnicze. Klement Gottwald został prezydentem Republiki.

A Emil? Emil napisał do mnie entuzjastyczny list na temat ostatnich wydarzeń w swoim kraju. Jest zachwycony postawą wyższego duchowieństwa czechosłowackiego, które nieomal koronowało stolarskiego robotnika i socjalistę na prezydenta.

Dostałem jeszcze jeden list, podobnie jak cała polska młodzież — od naszych biskupów. Ale się nie przejąłem.

O roku ów! Ciebie nasza młodzież nazywa rokiem jedności, robotnik — wzmożenia produkcji, rolnik — urodzaju, naród — dalszej odbudowy.

A biskupi? Zresztą, czy to jest ważne?

Wiesław Jaździński

Jerzy Falenciak

KAPLICZKA I PANOPTICUM *)

I

Miasteczko Rukopań w powieści Jana Drdy jest w rzeczywistości zespołem pięciu wsi — tylu, ile palców u ręki. Mieszkają w nim chłopi, drwale i górnicy z pobliskiej kopalni srebra. Kwitnie też tam rzemiosło i handel o rozmiarze i charakterze wcale nie miejskim. Należy się domyślać, że ta miejscowość znajduje się gdzieś na czeskim Śląsku i pamięta czasy Szwedów. Jej dzieje autor zamyka w kilku latach, tuż przed wielką wojną 1914—1918 r.

Chłopskie środowisko powieści reprezentuje gospodarska rodzina Frantyńców, można i starodawna. Dla niej Rukopań to tylko wieś— obojętne, że z ratuszem i burmistrzem — widoczek przefiltrowany przez okular kułackiego praagraryzmu. Na czele miasta Rukopań stoi burmistrz Franciszek Buzek, mistrz bednarski, stateczny alkoholik przeżywający poetyczne paroksyzmy delirium, wypełnione wizjami anioła-stróża. Z górniczej ludności „Miasteczka na dłoni" wyróżnia się jaskrawo Maciej Rzezacz, sławny w okolicy z niepohamowanych skłonności do kłusownictwa. — Rukopańscy drwale i spławiacze drzewa występują w powieści zespołowo jakby statyści o niezawodnej renomie (por. nasze: „Płyń flisacza dziatwo!"). Jeden z nich, sentymentalny kulas Józek Cibulka, próbuje konkurować z synem gospodarza Frantyńca o względy pięknej Hanki, nie bogatszej niż córki naszych małorolnych „wsiarzy" (nie od „wieś" lecz „wesz"). Oczywista, że bez powodzenia.

Miejskie i inteligenckie osobistości Rukopani — to proboszcz ks. Norbert Volman, lekarz dr Rozum i radca (bergrat) Zimmerheier.

Rukopański knajpiarz nazywa się Kohn, a tamtejszy wariat znany jest pod przezwiskiem „Pójdziesz"

A teraz akcja „Miasteczka na dłoni", najpierw polityczna, chociaż najmniej ważna w powieści Koncentruje się w czynach i sprawach burmistrza Buzka który umiera w przededniu wojny, nie wiedząc nic wraz z wszystkimi Rukopańczykami nie tylko o wiele mówiącej i głośnej sprawie ambasadora Prohaski, ale też o zamachu w Serajewie. Zupełnie prawdopodobne, że w Rukopani gazet nie czytano. I dlatego wiadomość o wojnie przyszła tam w tak niezrozumiałych okolicznościach i w sposób apokaliptyczny poniekąd, odczuty w następstwie mobilizacji mężczyzn i koni.

Akcja miłosna, najróżnorodniejsza, miesza się najczęściej z akcją społeczną i gospodarczą.

Młody Wacław Frantyniec, syty powodzenia u dziewcząt i na wielkochłopskie stosunki tzw. dobra partia, wsiąka nieoczekiwanie Zakochał się w ładnej, ale biednej Hance od Karasów. Przypadek nie jest typowy, w każdym razie dziewczyna wie co robi, od początku do końca. Przychodzi do małżeństwa, trochę in articulo belli, bo gdyby nie to — kto wie czy nieubłagany opór starego Frantyńca nie zwyciężyłby wreszcie i byłoby o jedną pannę z dzieckiem więcej. — Wzdychający do Karasówny Józef Cibulka nie miał powodzenia, bo mieć nie mógł.

*) Jan Drda: Miasteczko na dłoni. Przełożył z czeskiego Zdzisław Hierowski Wyd „Awir", Katowice. 1947 — Jan Huszcza: Miasteczko nad Olszanką, Spółdz. Wyd. „Wiedza" Warszawa, 1948 r.



Jan Drda



Jan Huszcza

Co innego, gdyby Wacław nie ożenił się. Wtedy Józek pojąłby porzuconą bez dobrodziejstwa inwentarza. Pewne też, że potem biłby ją i lżył po pijanemu. Te rzeczy tak wyglądają między ludźmi i komplikują się w prostych oraz uczuciowych sercach. A na dnie „wszystkiego, szukaj tego, co kto ma", majątku.

Hanka Karasówna jest więc bohaterką „akcji erotycznej" powieści Drdy, w niespełnionym dramacie chłopskim. Doskonalszy jednak dramat występuje w osobie biednego wyrobnika, pomyleńca Janka Mrwika, przezywanego „Pójdziesz". Pracował kiedyś, jak wielu z Rukopani na kopalni, matka jego złożona chorobą nie ruszała się z legowiska. Umierając zażądała od Janka, żeby się ożenił. Ożenił się więc z Maryśką Sztwanówną, wielką ladaco, mającą za sobą wyrok za uduszenie dziecka nieślubnego — Inne Janka nie chciały w obawie, że stara Mrwikowa nie prędko umrze. — Małżeństwo to nie byłoby takie złe ostatecznie, ale piętno zbrodni w przeszłości młodej Mrwikowej biło także w Janka z całą mocą wsiowej złośliwości. I kiedy zmarło im dziecko zaraz po urodzeniu, Janek zaczął pić, a Maryśka włóczyć się ze sztygarem Podjudzony przez górników rzucił się na sztygara z nożem, nic mu zresztą nie czyniąc. — Najpierw nie umiał znaleźć dziewczyny, potem nie potrafił upilnować żony, a na koniec nawet zabić nie umiał. W obawie kary zwariował, żył gdzieś w opuszczonych sztolniach i widywano go czasami grającego na fujarce. Jego żona zaś stała się ofiarą najbezwzględniejszej proskrypcji od rukopańskiego kołtuństwa bez możności życia i zarobku.

Nie wiele budzą refleksji sprawy między kłusującym z amatorstwa górnikiem Rzezaczem a bergratem Zimmerheierem jakby miejscowym dziedzicem.

Bergrat najpierw nienawidzi kłusownika a potem zawdzięczając mu ocalenie z katastrofy w kopalni, przyjaźnie toleruje jego szkodnictwo. Tej zmiany w nastawieniu pana bergrata Rzezacz wydaje się nie spostrzegać i nie doceniać — zjawisko właściwe w przypadkach tzw pańskiej łaski dla kłusowniczego złodziejstwa, ocenianego od strony szkody zaledwie.

Na ogół biorąc „Miasteczko na dłoni" jest powieścią-sielanką. Smutniejsze wydarzenia nikną w niej i maleją w cieniu szeregu happy-endów, których nie mąci nawet wybuch wojny.

Trudno znaleźć w beletrystyce polskiej książkę, odpowiadającą „Miasteczku" Drdy. Już raczej w szwedzkiej, może „Gösta Berling" Selmy Lagerlöf.

II

Zapadniki, miasteczko z opowieści Huszczy, w niczym nie przypominają Rukopani. Zresztą te dwie książki mają tylko podobne tytuły i kończą się u początku wojen — pierwsza w 1914, a druga w 1939. Innych analogii nie znajdziemy.

Bohaterowie Drdy są bez wyjątku ludźmi prostymi lub z chłopska dostępnymi, choćby to był ksiądz, lekarz czy „radca górniczy". Z nich jeden zaledwie gospodarz Frantyniec nosi w swej kułackiej zapalczywości i pysze coś z karykatury, słabo zresztą zarysowanej. I takie są pewnie czeskie stosunki.

Wszyscy za to bohaterowie „miasteczka" Huszczy, drobnomieszczańscy notable, tworzą jakiś niesamowity gabinet osobliwości. Może to dlatego, że autor pominął zupełnie inne elementy społecznej struktury Zapadników, poprzestając na satyrycznym spreparowaniu małomiasteczkowej „góry", wyizolowanej starym sposobem Zoszczenki.

Ale ta metoda była odpowiednia w czasach i na obszarze carskiej Rosji, gdzie najmniejsza mieścina czy osada miejska gromadziła rzeczywistych mieszczan (meldujących się „z książeczki", a nie z „paszportu") plus służba domowa i trochę wyrobników o wiejskim pochodzeniu. Stąd też „Miasteczko nad Olszanką" wywołuje fałszywe przeświadczenie o jednorodności społecznej naszych przedwojennych dziur prowincjonalnych. Tak wcale nie było, czego dowodzą liczne środowiska drobnomieszczańskie b. Królestwa Polskiego, znane, żeby nie szukać przykładów, z wcześniejszej powieści Żeromskiego.

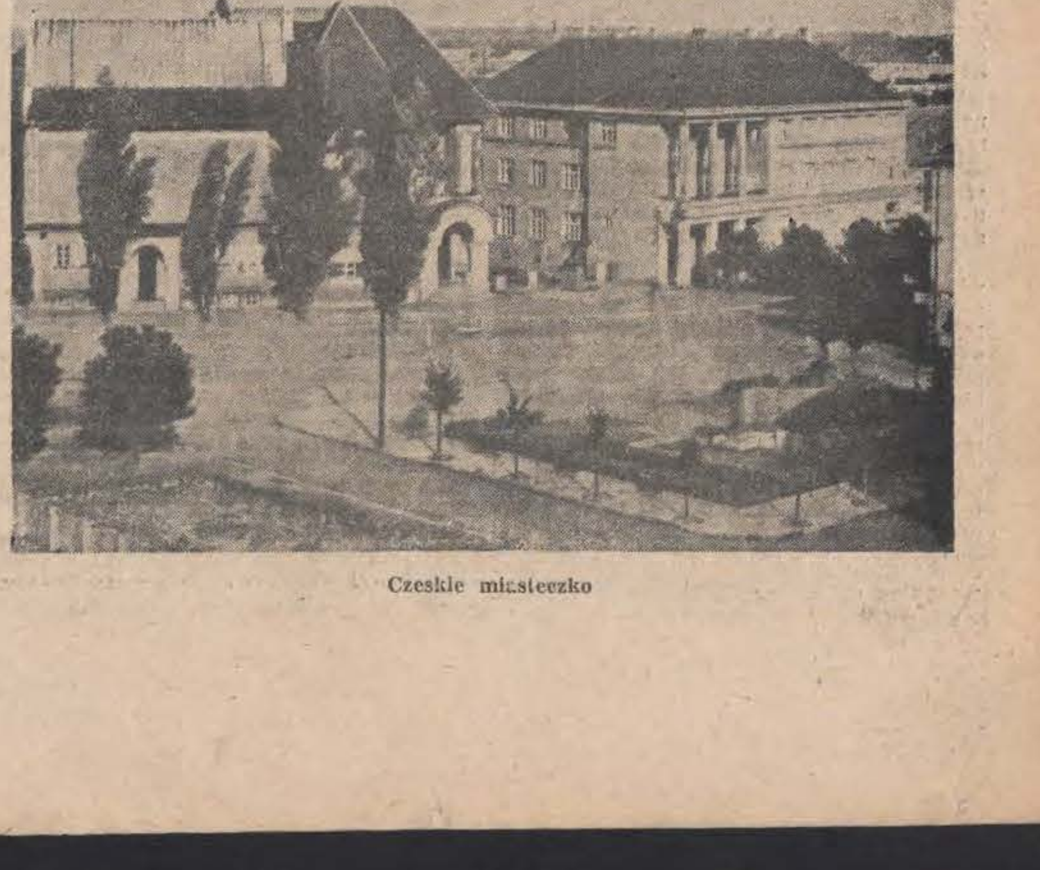
III

Po przeczytaniu Drdy i Huszczy zastanowiłem się, czy czeski wyraz „mestecko" dokładnie odpowiada naszemu, czy też oznacza także i wieś. Zajrzawszy do dobrego słownika przekonałem się, że nie ma między nimi różnicy ani filologicznej, ani pojęciowej.

W związku z tym doszedłem dalej do wniosku, że książka Drdy i książka Huszczy są, razem wzięte, najlepszym dowodem, iż dzisiaj, czy w Polsce czy w Czechosłowacji, nie ma już pojęcia „miasteczka" o jakichś konkretnych cechach stałej formacji socjologicznej. Co najwyżej jest to obecnie pojęcie prawno-administracyjne, formalne, o przeróżnej treści społecznej i gospodarczej.

Jeżeli więc tygodnik „Odrodzenie" (nr 25/186, 1948 r.) podaje o wynikach konkursu „Miasteczko polskie 1947 r.", że w nadesłanym materiale nie znaleziono opracowań odkrywczych ani pod względem rzeczowym, ani literackim, to domyślać się należy, iż nierzeczowość tych utworów konkursowych wynika właśnie z socjologicznej nieokreśloności pojęcia „miasteczko polskie 1947 roku".

Interesujące by też było, jaki sprawdzian rzeczowości wysunęło jury „Odrodzenia" w ocenie rozpatrywanych utworów.



Czeskie miasteczko

Lili Szwengrub

WARMIA I MAZURY

MIEJSCOWI

Spędziłam kilka tygodni na Warmii i Mazurach. Chodziłam od wsi do wsi.

Latem zeszłego roku zdarzało się, że Mazurzy zamykali przede mną drzwi:

— My Niemce, my chcemy za Odrę. Dajcie nam spokój. Nauczyciel powiedział, że nas nie wyrzucą. Po co tu przyjechaliście?!

Gdy jednak mimo wszystko udało się zdobyć ich zaufanie, okazywało się, że te „Niemce" mówią bardzo źle po niemiecku — „tyle co ze szkoły, bo w domu to matka nas naszej godki nauczyła". Że oni tu się urodzili tu ich ojczyzna, ale...

— Tę Poloki, co tu przyszli znad granicy, to na nas mówią, że my hitlerowcy, i musimy raus za Odrę. To my czekamy. Ale my nie chcemy. Co my tam będziemy robili, tuśmy są swoi.

Spotkałam człowieka bez nogi, ciągnącego brony. Mizerna, chuda kobieta wybierała kartofle. Obydwoje młodzi. Podeszłam... Nazywał się Kopaczek. W wojsku nauczył się po niemiecku. Żona zna zaledwie kilka niemieckich słów. Kopaczek chce wyjeżdżać za Odrę. Tam dadzą mu rentę, a tu jaki los czeka „żołnierza niemieckiego".

Kilkadziesiąt metrów dalej stały duże, ciężkie, belgijskie konie osadników z lubelszczyzny.. Ale Kopaczek nie miał 1000 zł, a pomoc sąsiedzka między ludnością miejscową a napływową trudno się jeszcze nawiązuje. Kopaczek nie pojechałby — ale ma żonę, dziecko. „Polska renty za niemiecką żołnierkę przecież nie da — powiedział — muszę wyjechać".

Chce wyjechać kobieta z pięciorgiem dzieci, bo mąż za Odrą Ma tam już pracę, a tu — przecież Niemiec! Jej sąsiad, gospodarz ma 15 ha — nie weryfikuje się — bo co ma się za Polaka podpisywać?! Jak tu teraz Polska to dobrze — on się tu urodził i tu chce umrzeć. On jest Mazur, to poco się podpisywać?

To są „spotkania" krańcowe, peryferyczne. Ale przez nie dopiero można obrysować i określić problem Warmii i Olsztyńskiego.

Gospodarstwo 25 ha Duży dom. Mazur i osadnik. Osadnik ma konia, Mazur nie ma, bo się nie zweryfikował. Osadnik wymyśla mu od Niemców i grozi, że i tak wyrzuci go z gospodarstwa. Więc poco się weryfikować?!

— On nic nie robi — mówi osadnik.

— Nic nie obsiał?

— Obsiał 3 ha. Zasiał żyto i posadził kartofle. Sam kopał.

— A ile by obrobił, gdyby miał konia?

— To by chyba wszystko obrobił. To dobrzy gospodarze, jak mają konie, to pracują.

— Więc?

— No, ale on ciągle gada, że jak tu był Niemiec, to był porządek i nie było złodziei.

Tego poglądu nie podziela Warmiak z tej samej wsi, chociaż miał 4 konie i 15 sztuk bydła, a teraz ma jednego konia na 25 ha gospodarstwa. Obsiał 15 ha w tym roku i twierdzi, że się dorobi. „Wojna wszystkich zniszczyła, ale my pracy zwyczajni — byle było gdzie i czym — to będzie dobrze. Na wiosnę kupię drugiego konia, to już obsieję wszystko".

I znowu dalej, i znowu podobnie. Ja tutejszy, ja Mazur, ja Warmiak, chcę zostać, tu moja ojczyzna. Każdy podkreśla z przekonaniem: — Ja „tutejszy". To jest głos chłopa mazurskiego, taki sam, jak na zapadłych wsiach Polski centralnej, w Świętokrzyskim czy Końskim To jest głos tego zapóźnionego historycznie, ludowego patriotyzmu, jaki prof Ossowski nazywa „lokalnym". Smutny wynik tzw. **kultury parafialnej**, przez wieki ograniczającej świadomość społeczną chłopa do gromady, do parafii.

Stanął przede mną problem.

Mazurzy zachowali przez 600 lat język ojczysty.

Warmiacy walczyli o polskość — tak, to wszystko prawda.

Ale dlaczego zachowali? Dlaczego walczyli? Jak wyglądało u nich pojęcie tej Polski — ojczyzny?! Co o Polsce wiedzieli? Mazury? W ich pojęciu Polska — to biedni, wynędzniali robotnicy sezonowi przyjeżdżający do nich kopać kartofle. I jeszcze — Polska to kraj katolicki — więc obawa, że będą się musieli wyrzec religii protestanckiej. A przecież zachowali język narodu tamtej religii.

— W szkole mówiłem po niemiecku, ale w domu musiałem mówić po naszemu, bo matka inaczej nie rozumiała.

W domu kancjonały, biblie, postylle, pisane szwabachą, po mazursku. Babka się z nich modli. Matka mniej. Młodzież już wcale.

Młodzież nic o Polsce nie wie. Wychowana w Hitlerjugend nie interesowała się żadnym innym narodem inaczej, niż jako ewentualną siłą roboczą dla narodu niemieckiego.

A dzisiaj, po wypadkach wojennych, po włóczęgach po świecie, w szeregach armii niemieckiej — gromadzi się w murach M. U. L., uczy się polskiej mowy, historii swojej ziemi, odnajduje „tutejszość", jako fragment dziejów Polski, już mocno zagubiony w asymilacji z niemczyzną. Odnajduje na gruncie podobieństwa ludowej kultury mazurskiej z ludową polską, by do urwanego wątku polskości ludowej, służebnej kiedyś i długo potem społecznie, dodać na gwałt wiele nowych ogniw, jakie przeżył naród polski poza Mazurami do dziś.

Tę nową misję młodzi wychowankowie U. Ludowego podejmują z entuzjazmem, bo wierzą, że w Polsce sami się odnajdą i wskażą drogę przyszłości miejscowemu ludowi o archaicznej kulturze z minionego wątku polskiej kultury, bo wierzą, że Polska walczy o wolność wszystkich narodów i wolność dla rozwoju kultury środowisk etnicznych, zamkniętych przez historię w enklawy, tak właśnie jak Mazury, nie tylko przez historię kapitalizmu wewnątrz-narodowego ale obcego, gniotącego klasowo mniejszość narodową. Ale pierwsze roczniki słuchaczy U. Ludowego są narażone na przejściowe rozczarowania. Wizja historii Polski i jej przyszłości ma wielkie wymiary. Trudno w tym, co się dzieje aktualnie na Mazurach używać miar, jakimi ich rozentuzjazmowano na Uniwersytecie.

Trafiają na różnych ludzi, na ludzi znad byłej granicy, na Wilnian, Zabużan, Warszawiaków, Krakowian — na ludzi o różnych tradycjach kulturalnych, na grupy, z których każda jest inna, a żadna nie dość rozumiejąca ich tradycje. I patrzą i słuchają, i chcą zobaczyć Warszawę i Polaków z Warszawy i chcą się zetknąć z polską kulturą...

I znowu problem. Co robimy dla wprowadzenia ich w kulturę ogólno-polską?!

Co robimy by zrozumieć ich archaiczną polskość, by nawiązała się więź między nimi a osiedleńcami i przesiedleńcami?

— Mój stary pojechał do Polski — słyszę głos osadniczki spod Ostrołeki — wróci jutro.

— Do Polski? A co tutaj jest?

— Niemce.

— Jakto?

— A przecież tu tyle szwabów. I większe mają prawa, jak my. Tak jak we wojnę musim na nich robić. Człowiek we wojnę wszystko stracił, a teraz nawet Niemcom zabrać nie może, bo zamkną.

— Przecież ci ludzie mówią po polsku. 600 lat byli pod panowaniem Niemców, a nie zapomnieli języka?

— E, to ewangeliki — Niemce. Po niemiecku gadają i takie dumne.

— Niemcy, bo ewangelicy?!

— Ano pewnie, że ewangelik to szwab.

Skąd to?

Podobne stanowisko zajmują Warmiacy katoliccy w stosunku do Mazurów. „Te Mazury to Niemce, bo ewangeliki".

Że na Warmii polskość została utrzymana w dużej mierze poprzez kościół — to zdanie słyszy się często. Kościół ostoją polskości. Czy na prawdę?

Wprawdzie na Warmii więcej słyszy się o Polsce, wprawdzie Warmiacy są zdeklarowani prawie w 100 proc. — ale ich polskość to właśnie niechęć do luteranizmu, do hitleryzmu, ale dlatego nie dość jeszcze dojrzała... do Polski demokratycznej.

— Panienka, to z tych prawdziwych Poloków, czy z tych ruskich?!

— ?

— Z tych co tu teraz rządzą? Te pany, co do nas przed wojną z Warszawy przyjeżdżali, to byli fajn pany.

To jest obraz polskości zachowany przez kościół. Obraz, w którym **dopełnieniem ludu jest świat panów**, obraz, w którym postylle i stare kancjonały otwierają widok na kulturę z okresu przed-kapitalistycznego. Polak musi być katolikiem „Trudno sobie wyobrazić Polaka nie katolika" — słyszałam, jak kazał ksiądz w czasie procesji na środku wsi, gdzie 30 proc. ludności jest ewangelickiej.

Czyż można się dziwić, że ta ludność nie chce się zweryfikować, jeżeli to ma grozić ingerencją w ich sprawy wyznaniowe, jeśli to, że są ewangelikami, ma zostawić na nich wieczno piętno germanizmu?

U katolików Warmiaków przynależność wyznaniowa jest transponowana na narodowość i państwowość, na stosunki społeczno-polityczne i gospodarcze. To jest miara sprzed 500 lat. Ludowe kryterium narodowości — średniowieczne..

Ono musi ulec przemianom.

Te dwie rzeczy trzeba rozdzielić. Religię i politykę. Narodowość i wyznanie. Wyznanie i ustrój społeczno-gospodarczy.

Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że inne są tradycje polskości na Warmii i Mazurach, inne w centrum Polski. Inaczej tam i tu te pojęcia się kształtowały, inne ich przyczyny, inne skutki.

Ruchy religijne końca średniowiecza stanowiły specyficzną postać ruchów społecznych i narodowych ówczesnej Europy. Ale krzepnięcie mieszczaństwa w Anglii i Francji uświecczza już coraz bardziej politykę i świadomość narodową. Od końca w. XVIII przemiany ustrojowe, polityczne i pojęcia „narodu" podporządkowują sobie religijne tradycje środowiskowe i instytucje kościoła, napierają na jego politykę. Kapitalizm europejski doczekuje się pod koniec XIX w. bulli Piusa X, która głosiła, że z ustanowienia bożego muszą być biedni i bogaci, pracodawcy i proletariusze.

Średniowieczna zasada panów i poddanych została przez kościół powtórzona w języku nowoczesnym, pasującym do kapitalizmu i sankcjonującym jego klasową strukturę społeczną (acz opartą na innej technice i stosunkach produkcji). Została powtórzona zasada— muszą być biedni i bogaci—pod adresem środowisk (w szczególności chłopów) opóźnionych cywilizacyjnie, tak, że w ich tradycji kulturowej religijno-pośredniowiecznej nie została dokonana żadna zmiana, przeciwnie— kościelny chór wieków utwierdzał w przekonaniu: jak było, tak będzie.

Ale przecież w warunkach narodowo pełniejszych, jak w Galicji, czy Kongresówce i na wsi dokonał się przełom. I w kulturze wsi parafialnych odbyła się spóźniona reformacja. „Dwie Dusze" Bojki (1904 r.) w Galicji i manifesy „Zarania" w Kongresówce (1907—13) to wielkie akty **rozdziału religii od świeckich, społecznych dążeń ruchu ludowego.** Ta tradycja już nie zginie. Przedłużyła się ona na następne pokolenia. Spadkobiercami i wykonawcami jej przez następne 30-lecie były „Wici".

Warmiacy i Mazurzy z kancjonałami i postyllami, jako wyposażeniem w polskość, — jak zaznaczyłam wcześniej — muszą być oddaleni od porządku Polski demokratycznej. XIV i XVI wiek kultury narodowej, jako spóźniona polskość, nie pozwala oczywiście natychmiast zasymilować się z ciągiem kultury narodowej następnych wieków. Nie pozwala natychmiast na rozdzielenie wyznania od świadomości narodowej, polityki od religii, wyznania od przemian ustrojowych.

Ale też chyba nie na tym polega zadanie kościoła, aby w Warmiakach i Mazurach archaizm utwierdzać, raz jeszcze oddzielając ich od Macierzy.

PRZESIEDLEŃCY I OSADNICY

Wilnianie chcieliby upodobnić wsie, w jakich zamieszkali, do swoich rodzinnych stron.

Stąd fundacje obrazów Matki Boskiej — Ostrobramskiej, stąd wesela, na które nie dopuszczą się nikogo spoza swoich, stąd duża endogamiczność tej grupy

Zabużanie na nowej ziemi widzą warunki lepszej egzystencji. Usadawiają się na stałe, mniej mówią o pozostawionych domach i wsiach, chętniej nawiązują kontakt z ludnością miejscową, starają się upodobnić swój sposób gospodarowania do sposobu gospodarowania Warmiaków i Mazurów. Chętnie żenią się z miejscowymi pannami, widząc w tym awans społeczny (wyższa technika rolna u Mazurów).

Wydaje się, jakoby ich na ogół niższy „stopień kultury" niż u Wilnian, ich brak specjalnych tradycji regionalnych ułatwiał im adaptację do nowych warunków.

Podobnie przedstawia się sytuacja z ludnością Lubelszczyzny, inność techniki gospodarczej nie stwarza oporów między nimi a miejscowymi.

Inaczej wygląda sprawa z osadnikami. Tu trzeba wyróżnić dwie grupy według pochodzenia terytorialnego: Kutno, Przasnysz, Ostrołęka, Maków — to pierwsza grupa, Poznańskie, Pomorskie, Śląsk — to druga z pozostałych terenów.

Grupa pierwsza to ludzie o dużych tradycjach przemytniczych a równocześnie o wysokim poczuciu swej odrębności narodowej.

W zależności od układu tych sił, są to ludzie dużej wartości na nowym terenie — bądź w administracji, bądź jako gospodarze na roli, ale u części nie zaginęła jeszcze tradycja ludzi nadgranicznych, czujnych w swoich postawach raz obronnych, raz agresywnych, ludzi którzy przechodzą granicę po to, by łupić:

Nie są przesiedleńcami — sami tu przyszli. Chcą sobie odbić zniszczone gospodarki — na „Niemcach". W ich świadomości — granica istnieje. Odbić, dorobić się i wrócić na swoje na ojcowiznę.

Nie dbają więc o planowość gospodarki, nie dbają o kontakty z ludźmi. Po co? To nie „ich" kraj. To kraj skąd zawsze czyhało niebezpieczeństwo Trudno im się pogodzić z myślą, że tu mogli mieszkać Polacy, że Warmiacy i Mazury — to potomkowie z macierzystego pnia narodu polskiego.

U tych od Przasnysza po Ostrołękę żywa jest podlaska tradycja narodowa z okresu zaboru rosyjskiego, ludowo-religijna i grottgerowska, u tych spod Makowa — anczycowa, według jego 24 obrazków historii polskiej, w Krakowie obchodowa, galicyjska. Dlatego to, co u Warmiaków i Mazurów również jest ludowe i regionalne przyrównane do ich tradycji wydaje się obce. A to, co, u miejscowych zaskakuje ich wyższą cywilizacją techniczną (gospodarka, pobudowanie, wnętrza o kilku pokojach, stopa życiowa) najzwyczajniej tłumaczą sobie przybysze — „niemieckością".

Natomiast bardzo łatwo zżywają się z Warmiakami Pomorzanie, Poznaniacy i Ślązacy. Trudno ich rozróżnić. Podobne postawy społeczne podobny drobnomieszczański styl życia, sposób myślenia, zachowania się w różnych sytuacjach To uderza, i to wyjaśnia. Podobieństwa wzorów i zasięgu tradycji kulturowych. Wśród tych różnych regionalnych grup jak rodzynki w cieście trafiają się ludzie z różnych pozostałych okolic Polski. Ludzie którzy zostali skierowani na placówki albo szukają tu pracy twórczej od nowa.

Różnie to wygląda Mało z nich jest przygotowanych do zrozumienia ścierających się prądów i toczących się wokół rozgrywek.

Jedni idealizują społeczne stosunki, i polskość ludności miejscowej, inni wpadają w pesymizm. Jedno i drugie nie jest słuszne. Województwo olsztyńskie to dzisiaj kocioł, w którym wre i kipi. Nigdy i nigdzie nie mieliśmy do tej pory możności obserwować ścierania się tak różnorodnych tradycji kulturowych.

Wytwarza się tam nowa więź społeczna. Proces ten odbywa się równolegle z drugim. Ścierają się i mieszają wszelkie możliwe regionalne i ludowe mity.

* * *

Nad tym trzeba się zastanowić. W to trzeba wglądnąć. Trzeba poprowadzić taką politykę kulturową, by to, co tam się ściera dało w skutkach jakąś jedną, ogólno ludową więź społeczno - narodową, a nie zróżnicowało się i zaostrzyło w antagonizmach dzielnicowych, a chociażby w antagoniźmie: przybysze — miejscowi.

Nie wolno nam podsycać regionalizmów i pielęgnować chociażby przez to, że nie wyjaśniamy sobie ich społecznej genealogii. Tradycje ludowe są cząstkami kultury ogólnonarodowej, wątkami najczęściej historycznie zapóźnionymi — to trzeba zrozumieć i nad tym pracować, aby w tej naturalnej retorcie, jaką jest olsztyńskie, pomóc chłopstwu i drobnomieszczaństwu z różnych regionów Polski przefermentować pomyślnie. Olsztyńskie to społeczna na serio szkoła przyśpieszonego wchodzenia ludu w naród o ustroju już pokapitalistycznym.

O tym niech pomyślą politycy kulturowi, działacze społeczni, ekonomiści i politycy administracyjni.

DZIECI — CZYTELNICTWO

Odwiedziłam kilka szkół. Zetknęłam się z harcerstwem, z organizacjami młodzieżowymi, członkami partii politycznych.

W szkole trudno mi już było rozróżnić dzieci miejscowe od dzieci przybyszów, dzieci Wilnian od dzieci spod Kutna czy Poznania.

I dzieci ten problem nie interesował — skąd które Nauka, wspólne zabawy, wspólne troski sprawiają, że na terenie szkoły dzieci zapominają skąd pochodzą i co się na ten temat mówi w domu. Ale kiedy pytałam — skąd ty? — odpowiadały — Ja z Wilna, ja z Kutna, ja z makowskiego, ja tutejszy. Prawie wszystkie, gdy zwróciło się już ich uwagę na różność pochodzenia regionalnego — starały się podkreślić swoją wyższość nad innymi grupami dzieci, dając tym świadectwa atmosfery i rozmów swego środowiska, a bynajmniej nie własnych mniemań. Zagadnięte o postępy w nauce, o zabawy — odpowiadały najżywiej i tu w ich opinii najmocniejsze były pozycje rzeczywiście najlepszych uczniów, rzeczywiście dobrych organizatorów zabaw, a zupełnie nie ważne, nie istotne pojęcia: Mazur, Warmiak, Makowianin, czy Wilnianin, katolik, ewangelik czy baptysta.

Podobnie przedstawia się sprawa w ramach organizacji i partii. Tylko niekiedy działalność ich jest jeszcze zbyt słaba, niedość zorganizowana i nierzadko nieudolnie prowadzona.

I to jest problem. Problem niezadawalającej działalności świetlicy, organizacji, partii. Niezadawalającej, bo nie wnoszącej elementów nowych, elementów **wyjaśniających.** Zbyt mały nacisk na życie kulturalne wsi, na jej nowe kształtowanie się, jej potrzeby.

Warmiak i Mazur mają w swym domu biblioteczki. Naturalnie niemieckie. Ale czytali. Teraz nie mają co, nie wiedzą, nie umieją — ale potrzebę czytania wciąż jeszcze odczuwają.

Stoi tu otworem pole dla konstruktywnej pracy polityków kulturowych — dla ludzi, którym leży na sercu sprawa bibliotek gminnych, zainteresowania chłopa literaturą ogólno-polską i europejską A teren przygotowany — bo ludzie czytali i odczuwają potrzebę czytania

Dziewiczy — bo stoją u progu wchodzenia w polską kulturę demokracji chłopsko-robotniczej bez kompleksów wielowarstwowych tradycji literackich, choć z jednym — archaiczno - postyllowym.

Gorzej z przesiedleńcami i osadnikami: u tych żyje tradycja Rodziewiczówny, Mniszkówny, Courts-Mahlerowej.

Grozi niebezpieczeństwo, że te tradycje mogą transponować na ludność miejscową. To się zresztą niestety już dzieje.

I na to trzeba zwrócić uwagę.

Są dwie rzeczy ważne na terenie województwa olsztyńskiego. 1) właściwe postawienie spraw administracyjno-gospodarczych i 2) polityki kulturalnej.

Bo nie o to chodzi, że znajdujemy analogię dla „mazurskości" w ludowości naszych regionów centralnych, ale o to, jak szybko potrafimy tych ludzi wprowadzić i złączyć z kulturą ogólno-narodową, a też dziś w nowym ustroju dopiero **stającą się**. Droga do niej nie prowadzi w żadnym wypadku przez regionalizmy, ludomaństwo, zrywy filantropii czy sentymentalno - liryczny zachwyt nad mazurskim i warmińskim zachowaniem języka ojców, jako miary ich poczucia przynależności narodowej.

Wychowali się w innych tradycjach, w innym splocie warunków i nie można od nich wymagać poczucia narodowego, jakie ma np. Warszawiak To trzeba zrozumieć. I tu jest problem, kóry domaga się jak najszybszego rozwiązania.

Lech Budrecki

ANDRZEJEWSKI PRZED WOJNĄ



Jerzy Andrzejewski
rys. J. Janowski

I.

W roku 1938 wyszedł „Ład serca". Książkę tę przywitano zewsząd z nieukrywanym entuzjazmem. Nie mam w tej chwili pod ręką odpowiednich tekstów, ale mogę zapewnić, iż krytyków i recenzentów powieści Andrzejewskiego ogarnął rzadko spotykany zachwyt. „Ład serca" to nie był debiut. Kilka lat wcześniej ukazał się niewielki tom opowiadań pt. „Drogi nieuniknione". Dziś jeszcze mówi się o walorach jego wczesnych prac, o niezwykłych rzekomo ich zaletach, nazywając przy tym „Przed sądem" — „Rozdziobia nas kruki i wrony" bieżących czasów. Jest rzeczą niesłychanie ciekawą dokonać rewizji ocen o książce sprzed 10 lat, sprawdzić po drodze, w jakim stopniu laurki były zasłużone i skonfrontować dawne utwory żyjącego pisarza z jego dzisiejszymi osiągnięciami.

Jednym ze sławetnych zwyczajów polskiej krytyki powojennej był podział na prozę realistyczną i psychologistyczną. Stąd też przystępując do książki recenzent stawiał sobie pytanie: „Realizm czy psychologizm?" Może było to i słuszne, może i pożyteczne, nie chcę tu wnikać w meritum zagadnienia, w każdym razie wielkie kategorie podziału wydają mi się nazbyt obszerne, by można było przy ich pomocy dobrze zakwalifikować jakieś pojedyncze dzieło. Toteż nie będę tu wypychał Andrzejewskiego w sąsiedztwo Joyce'a czy też Prousta, zapewniając, że pisarze ci są właściwie podobni i jeśli przymuszony koniecznością wpisania „Ładu serca" w jakiś typ dzieł, rozejrzę się za takim, to najchętniej powiem: „powieść moralna".

Ale co to jest powieść moralna? Czy to nie jedna z nazw pustych, czy to nie jeden z terminów pozornych, którymi tak chętnie bawią się krytycy i teoretycy sztuki? Wydaje mi się, że jednak nie. Powieść moralna jest utworem beletrystycznym, w którym wydarzenia, stanowiące fabułę, są w znacznej mierze wykroczeniami przeciw istniejącemu w danym kraju kodeksowi karnemu i to tym jego artykułom, które traktują o sprawach uważanych powszechnie za najważniejsze. A więc przede wszystkim wejdą tu wszelakie zbeletryzowane monografie zbrodni, niesłychanie spopularyzowane w znacznej części współczesnej literatury zachodnio-europejskiej opowieści o kryminalistach i o tym, że nie są oni zdeterminowani jakimiś przyczynami najzupełniej naturalnymi.

Teraz trzeba usunąć jeszcze jedną wątpliwość. Czy „Ład serca" mieści się w granicach, jakie zakreśla rozważane przed chwilą pojęcie? Sądzę, iż résumé odpowiednich fragmentów fabuły posłuży za najdoskonalszy materiał dowodowy. Pościg za znanym bandytą Morawcem, zabójstwo posterunkowego, omyłkowe aresztowanie niewinnego człowieka. Chyba dosyć? A więc zgodziliśmy się na powieść moralną. A teraz dlaczego chwycił się jej Andrzejewski? Poszedł śladami niektórych pisarzy francuskich, był jak oni katolikiem, a morderstwo odsłaniało najlepiej, najwyraźniej (duży kaliber przykładu) **mechanizm łaski i grzechu.**

II.

Ludzie żyją pod presją strachu. Tą uwagą o świecie książek Andrzejewskiego dzielili się ze mną nieraz czytelnicy „Ładu serca" i pierwszych opowiadań „Nocy". Zgodzi się z tym sądem chyba każdy po uważnej i starannej lekturze. Weźmy tylko monologi wewnętrzne postaci. Oto wspomnienia Anny: „Ostatnio coraz częściej wpadała w taki nastrój. Nie chciała go. Ale nie chciała tylko wówczas, gdy był poza nią. W nim nie istniało tak lub nie. Czasem, gdy budziła się w środku nocy przy boku przygodnego kochanka, ogarniało ją przerażenie, tak nagle jasnym się dla niej stawało, iż w chwili zdawałoby się wykluczającej samotność, była w rzeczywistości nie do wyrażenia samotna. Samotna samotnością najokrutniejszą, którą każdy człowiek musi raz przeżyć, choćby śmierci". A teraz doznania psychiczne Piotra: „Aż nagle w to skamieniałe napięcie przerażenia wniknęła myśl, że gdyby mógł teraz znaleźć rękę przyjaznego człowieka, byłby uratowany. Już nie śmierć wydawała się straszna, lecz samotność wobec niej. Strach rósł w nim. Słyszał, jak ciemny i bezgłośny ton kołuje w jego głowie coraz prędzej i gwałtowniej". Nachodzi ich nagłe przerażenie, lęk wobec własnej samotności. I jeszcze jeden cytat: „Strach — oto czym w takich chwilach drży samotna ziemia. Jest to czas daremnej ucieczki dla błądzących, a próby dla tych co szukają". To wyjątek ze wstępu. Ilustruje on najlepiej późniejsze losy bohaterów i ich doznania. A teraz spróbujmy przyjrzeć się pejzażom, odgrywającym, w tym miejscu ostrzegam od razu, niepomierną rolę. Świat, w którym żyje ks. Siecheń i Anna, musi jakoś usprawiedliwiać ich lęk, musi odpowiadać naszym pojęciom o „straszliwości". A czy tak jest? Oto próbka opisu: „Październikowy dzień, nasiąkły deszczem, rozrywany wiatrami, szybko ustępuje przed niecierpliwą nocą. Już nadciąga w ciężkich zwałach chmur, nisko jak wielkie, szeroko rozczapierzone ptaki sunących ponad ziemią. Po krótkiej ciszy znów zrywa się wiatr. Wilgotny, nasycony oparami łąk i mokradeł sedelnickich. Wiatr zapadłej Białorusi, dróg rozmiękłych jesienną porą, lasów rozległych, błot i wydm". W „Zazdrości i medycynie" co noc szaleje wichura, w powieściach sensacyjno-kryminalnych mamy duże i źle oświetlone pokoje, a za oknami burzę. Wszelakie fakty atmosferyczne są używane po prostu jako chwyt potęgujący „niesamowitość" i „grozę", chwyt zapowiadający już z góry przyszłe nadzwyczajne perypetie. O właśnie jesień, deszcz, wiatr, nadchodzi noc! W „Przed sądem" wprowadza się już inny krajobraz. Obłoki, światło i kilka gwiazd. Spokojna przyroda ma kolidować ze śmiercią dwu ludzi, których właśnie rozstrzeliwują Niemcy. To jawna technika kontrastów, użyta tu dla zaakcentowania egzekucji. Tak więc łatwo możemy orzec, że w jednym i drugim wypadku wszystkie opisy są montowane bardzo celowo. W pierwszym mają one podnosić grozę świata, w którym akcja się rozgrywa, w drugim zaś „akcentują" dramat (rzecz ciekawa, iż poważna ilość odbiorców traktuje np. opis powieszenia dwu przyjaciół przy równoczesnym zaznaczeniu słońca, pięknych obłoków itd., jako specjalnie „tragiczny").

Jeśli nieco odbiegłem od zamierzonej początkowo przeze mnie linii rozważań, to nie żałuję tego. Chciałbym bowiem zaznaczyć pewne różnice między „Ładem serca", a dwu późniejszymi opowiadaniami z „Nocy". Niuanse te są naprawdę bardzo wątłe i przyczyny ich istnienia należałoby szukać w chwycie ściśle technicznym, rozważonym właśnie przed chwilą. „Uspokojenie" zjawisk meteorologicznych uczyniło późniejsze rzeczy Andrzejewskiego daleko mniej demonicznymi. Tym, którzy nie chcą w to uwierzyć, gotów jestem podać od razu przykład. Weźmy jakiś dowolny film z serii tych „mrożących krew w żyłach" np. „Syn Frankensteina". Usuńmy błyskawice, uciszmy trwającą przez cały czas niemal ilustrację muzyczną, oświetlmy wyraźnie miejsce akcji, a połowa efektu na pewno zaginie. Tak właśnie jest w „Przed sądem", gdzie filozofia nie ulega (w porównaniu z poprzednim etapem twórczości) żadnej przemianie, a jednak morał jest zupełnie inny. Mniej rozpaczliwy, mniej beznadziejny, choć i tu i tam autor sugeruje nam demona przyczajonego na dnie duszy ludzkiej.

Weźmy wydarzenie w pewnym sensie klasyczne: dzieje młodego chłopca Michasia. Ten wzorowy wychowanek księdza, traci w pewnej chwili swą dotychczasową czystość, swą niezachwianą perfekcję i zaczyna się burzyć. Z tego nie wynika jeszcze nic, ale oto mamy jego rozmowę z gospodynią. Wysłuchajmy wybranych fragmentów: „Nie pozwolę — pogroził jej kułakiem. Widząc przed sobą jego twarz zmienioną, poszarzałą, usta wykrzywione złym grymasem, oczy zwężone i mściwe, skurczyła się, głowę wtuliła w ramiona i pośpiesznie się przeżegnała. „Diabeł" — szepnęła drżąc cała — diabeł..." Wniosek jest prosty. Pojawił się szatan. A więc on to właściwie jako kusiciel, jako ostatni sprawca grzechu, staje się autorem tragicznej nocy w Sedelnikach. Za jego sprawą bandytą został Roman Morawiec, a prostytutka Anna, za jego przyczyną w ustawicznym lęku żyje Litowka. Przez cały czas bowiem działają następstwa uprzednio spełnionych grzechów. Seweryn Gejżanowski zabija posterunkowego Nawrockiego myśląc, że ten zna jego dawne sprawki. Przerażenie na skutek ongiś popełnionych przestępstw staje się w ten sposób jednym z podstawowych motywów ludzkiego działania. Na wszystkich niemal-że ciąży jakaś dawna wina, jakiś fatalny czyn. Nawet ks. Siecheń nie jest od tego wolny. On to, idąc przed laty do seminarium, rzucił Annę i stał się przez to jednym z bezpośrednio odpowiedzialnych za jej, użyjmy ulubionego słowa guwernantek — upadek. Tak więc z chwilą, gdy przystąpimy do oceny występujących postaci przy pomocy miar etyki chrześcijańskiej, stwierdzimy od razu, że nie ma tu na razie ani jednego pozytywnego bohatera (wyłoni się on później w trakcie akcji). Na podstawie tylu, tak hojnie dostarczonych nam przykładów, dochodzimy do przekonania o nieuchronnej ludzkiej słabości. Ale nie! Nazbyt byśmy się pośpieszyli. Andrzejewski widzi wybawienie. Czytajmy tylko: „Morawiec przymknął oczy i słuchał tego równego i czystego głosu. Potem przyklęknął i podźwignąwszy oburącz księdza Siechenia, wziął go na ramiona. Z tym ciężarem ruszył wolno w stronę Sedelnik". Na bandytę Morawca zstąpiła łaska. Postępek jego nosi wszelkie znamiona czynu odkupiającego. I następuje to w momencie najmniej oczekiwanym, wówczas, gdy klęska wydaje się czymś nieodwołalnym. Capo Schröder w „Apelu" też okazał skruchę i to, co nazywa się w terminologii katolickiej — żalem za grzechy. Zapłaci zań być może życiem, ale zostaje uwolniony od win, uzyskawszy w ostatniej chwili pełną, moralną rehabilitację.

III.

Pisarze realiści, pisarze naturaliści przechodząc do omawiania wydarzeń, z których formowali fabułę swego utworu, zaznaczali miejsce akcji, dokonywali bardzo dokładnego opisu środowiska. Ta cecha występuje dziś jeszcze w niektórych powieściach zachodnio-europejskich, najczęściej w utworach wywodzących się w mniej lub bardziej wyraźny sposób z tradycji pozytywizmu. Otóż cechą szczególną prozy Andrzejewskiego pierwszego okresu jest brak jakiegokolwiek zainteresowania strukturą społeczną grup, których to członkami bywają zazwyczaj bohaterowie jego dzieła. W „Apelu" mamy Oświęcim. Co ujawniono nam z warunków życia „koncentraku"? Cierpienie, poniżenie „godności człowieka", rzeczy właściwie dla obozu mniej istotne. Natomiast skomplikowane warunki społeczne Oświęcimia zatajono, a właściwie iżby nie insynuować, pominięto. Dalej — w „Ładzie serca" występuje środowisko „lumpów"-bandytów. Co wiemy o nich? Nic, oprócz tego, że wyliczono nam te wszystkie czynności, jakie każdy szanujący się bandyta popełniać powinien. Jeśli jednak ktoś chce znaleźć tu obraz życia ludzi marginesowych tego właśnie typu, to musi się z góry przygotować na wiele rozczarowań. Niech lepiej sięga po „Piąty etap" czy po „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy". Tam znajomość materiału socjograficznego będzie dużo doskonalsza i niewątpliwie pewniejsza. Jest jeszcze białoruska wieś Sedelniki. Wiemy coś o niej? Owszem wiemy... że mieszka w niej Siemion, że obok jest dom Gejżanowskiego i knajpa Litowki. I na tym koniec.

Z dużym zainteresowaniem, przyznam się, śledziłem te partie utworów Andrzejewskiego, które były poświęcone pewnym grupom społeczno - zawodowym. Najczęściej chodziło o tzw. wykolejeńców, ludzi stojących na marginesie socjalnym. Czytałem o tym, że cierpią, że „targa" nimi niepokój, by przekonać się wreszcie o tych czy innych konfliktach etycznych, jakie mieli przeżywać. Próby zarysowania sytuacji społecznej tak, jak to robił w stosunku do mieszczaństwa Galsworthy, a w stosunku do środowiska młodych inteligenckich intelektualistów, Huxley i Gide, zostają całkowicie zarzucone. Dane środowisko nie mówi nic o człowieku, tak, jak nie mówi o nim nic jego płaszcz, czy guziki u marynarki. Sąd ten rozpowszechniony w czasach moderny przetrwał przez całe 20-lecie i tu właśnie uzyskuje aprobatę ze strony Andrzejewskiego.

Nieważna jest genealogia Gejżanowskiego, ani to, że Litowka ma knajpę, ani to, że Nawrocki jest marnie płatnym posterunkowym. Dokonywuje się przecież wielkie misterium; w jedną noc ujawniają się wszystkie siły kierujące sprawami naszego świata. To właśnie założenie powoduje zgromadzenie w okolicy Sedelnik wszystkich ludzi zamieszanych w historię Morawca. A więc ks. Siecheń, dawny kochanek Anny, a więc ona, niegdyś przyjaciółka Morawca, dziś prostytutka, wreszcie Gejżanowski, bezpośredni sprawca ucieczki Buraka do bandy Morawca, no i właściciel miejscowej knajpy — Grzegorz Litowka. Akcja zaczyna się z chwilą kolejnych spotkań między tymi ludźmi, w momencie kulminacyjnym i rozstrzygającym dla oddawna ciągnącej się afery. Pisarz rzutuje wydarzenia raz po raz na poszczególne postacie, mówi wszystko, chce dać pełen obraz, niczego nie ukrywając, niczego nie zostawiając w cieniu. Technika jest więc ta sama, co i w „Apelu", gdzie przedstawia się problem moralny Oświęcimia poprzez przesuwanie akcji na poszczególnych bohaterów w jednym z ważniejszych momentów ich życia, ujawniając reakcję poszczególnych postaci i relacje istniejące między nimi. A to wszystko poto, by sens opowiadania był wyraźny, by dać pełny, daleki od agnostycyzmu, rzut losu człowieka i praw, które nim kierują. Krótki moment, zazwyczaj najbardziej istotny dla całej historii (t. zn. ten, który rozstrzyga o takim czy też innym jej przebiegu) i dla wszystkich ludzi biorących w niej jakiśkolwiek udział. Z tego wynika bardzo podniosła nauka filozoficzna, bardzo budujący morał.

IV.

Wspomniałem już o roli, jaką spełnia pejzaż w kreśleniu „patetycznych" obrazów, tym razem powiem już o czymś innym, o wzniosłości utworu, o tych przyczynach, zawartych w samym dziele, dla których przeróżni krytycy odnajdywali w nim „tragizm".

Przyjrzyjmy się bohaterom: ksiądz, zbrodniarz, młody chłopiec, prostytutka. Reguły doboru postaci powieści katolickiej zostały, jak widać, dochowane. Nakazuje je już solidna tradycja. Ale nie to jest najważniejsze, co innego wydaje mi się być dużo istotniejszym dla całego problemu: to doznania psychiczne bohaterów. Ich reakcje należą do pewnego ściśle określonego typu. Jakiego? Zaraz zobaczymy. Ukazane nam są monologi wewnętrzne Anny, Gejżanowskiego, Morawca. I od razu rzuca się w oczy szczegół: ich zastraszająca wzniosłość. Anna jest wymęczona życiem i myśli o samotności, Morawiec tęskni, Litowka ma też jakieś bardzo wysubtelnione doznania, bardzo kulturalne, na eksport. Rzeczą najzupełniej znaną i nie podlegającą żadnym wątpliwościom będzie „wyższość"*) refleksji nad istnieniem, losem człowieczym, początkiem egzystencji w stosunku do zwykłych rozmyślań, choćby do uwag, traktujących o sposobach zamykania drzwi. Toteż cechą nieco niepokojącą jest sposób myślenia bandyty, który można w całości ujawnić w inteligenckim salonie nie budząc oburzenia, ani nawet zgorszenia. Przeciwnie uznanoby, że zajmuje się on rzeczami, które mówi się w towarzystwie. Liczba myśli trywialnych jest niesłychanie szczupła, przez co odnosi się wrażenie, iż były one najzwyczajniej rugowane przy selekcji doznań przypisywanych bohaterom, jako likwidujące wzniosłość i osłabiające patos. Dotyczy to nie tylko zwykłych czynności psychicznych, ale także ich zobiektywizowanych form np. języka mówionego, który także przypomina swym słownictwem sposób wyrażania się inteligentów. Ba, podobne zapędy przeniesiono i na konstrukcję pejzażu. Zademonstruję tu zaraz kilka cenniejszych krajobrazów tak z pierwszych opowiadań „Nocy", jak i z „Ładu serca": „W głębi noc targana wichurą dygotała w potężnych skurczach. Podszedł bliżej, z rozpalonym czołem przylgnął do szyby. Usłyszał bliski szmer deszczu. W pierwszej chwili wydawało mu się, że to płacze ktoś zagubiony w ciemnościach. A potem głos jakiś go zawołał raz, drugi, coraz to natarczywiej. „Panie" — szepnął z rozpaczliwą tęsknotą. Odruchowo pchnął okno. Czarne wiry na kształt ogromnych wężów wiły się w mroku".

„Gęste obłoki kłębiły się w górze, lecz wyżej, jak nikłe światło w ciemnościach jaśniało jeszcze gwiazd kilka, dalekich, samotnych".

„O samym przedświcie wypogodziło się zupełnie i z ostatkiem ciemności wszystkie gwiazdy ukazały się na niebie. Wkrótce potem zaczęły blednąć i zagasać. Lecz mrok długo jeszcze stał nad ziemią. Wschód nadchodził niepostrzeżenie, osłonięty niezmiennym blaskiem reflektorów. Pierwsza jego poświata, szklista i krucha, położyła się na wyską smugę topoli i tam trwała jak nikły odblask niewidzianej jasności".

Wszystkie trzy opisy są poetyckie, to jest obliczone na metaforę, oparte o pewien zespół rekwizytów powszechnie używanych. Mogę tu bez namysłu podać kilka akcesoriów nieodzownych i na pewno niezawodnych. A więc noc i gwiazdy, motywy symboliczne romantyzmu, deszcz i ciemność, potężny wiatr, błyskawice, elementy wydobyte z dzieł nieco późniejszych, gdzieś od A. E. Poe'go. Tworzą one swoistą aurę poetycyzmu. Dlaczego? Sprawa wbrew pozorom bardzo prosta. Wieloletni rozwój literatury, a szczególnie poezji, spowodował przydanie pewnym przedmiotom specjalnego estetycznego znaczenia. Takimi rekwizytami będą np. morze, niebo, księżyc. Mają one w odróżnieniu od innych specyficzną wartość kulturalną, stają się stałymi pozycjami gustów w długim nawet czasokresie. Nimi też najchętniej i najczęściej posługuje się Andrzejewski.

Zbadajmy teraz, jaką funkcję w jego utworach spełniają podobne opisy. Oczywiście ustawiają fabułę na koturnach. Niekończący się zalew „gwiazd" i „otchłani", otaczający medytację prostytutki nad samotnością, pozwala dużo łatwiej rozegrać dramat, „nienaturalny", wyzbyty za to trywialności (używam tego terminu w znaczeniu potocznym). Ludzie zostali uwolnieni od praw biologicznych, opisy nie mają już nic wspólnego z naturalizmem. Otrzymujemy świat dużo bardziej wzniosły, podobny do tego, w jakim żyją bohaterowie Conrada czy nawet Prousta, gdzie to człowiek obracał się w granicach przedmiotów i myśli, uważanych konwencjonalnie za estetyczne. (Powiedziałem, że jest to „wzniosłość", że nazywa się to patos. Nie znaczy to jednak, bym przy tych określeniach obstawał, używam ich jedynie w braku innych, lepszych, trafniejszych). Tu dopiero rozpoczyna się zagadnienie. Spróbujmy zdać sobie sprawę z estetyki reprezentowanej i propagowanej przez autora. Trzeba się wreszcie dowiedzieć co ma być jego zdaniem wyniesione na piedestał, co zaś potępione? Jak będzie brzmiała odpowiedź? U źródeł poglądów artystycznych Andrzejewskiego, w tym przynajmniej okresie, leży przekonanie (świadome czy też nieświadome) o specjalnym zadaniu dzieła literackiego, polegającym nie na jakichś czynnościach poznawczych, lecz na wywoływaniu wzruszeń pewnego ściśle określonego typu. Zdanie literackie nie ma nic wspólnego ze zdaniem naukowym. Cel utworu to nie odtworzenie świata „takim, jakim jest", lecz jakim „piękny" świat być powinien.

A piękny to znaczy inny, nierzeczywisty, niezgodny z naszym doświadczeniem. Na tym poprzestanę, naturalnie otrzymaliśmy tylko schemat. Ale na drobiazgową analizę nie pozwalają mi granice tematu, a dygresji zawsze lepiej unikać.

(c. d. n.)

*) „wyższość" w sferach inteligenckich.

Jan Huszcza

F O T O G R A F I A

(fragment powieści o repatriantach)



— Jołki pałki! — zdziwił się Malkiewicz i sięgnął po jedną z kilku stojących na komodzie fotografii. — To przecież moja klasa... Skąd ty ją, Pelcia, masz?

Pelcia zaśmiała się:

— Ot, tak jakoś razem z innymi aż tu na Ziemie Odzyskane, do Władysławowa dojechała...

Fotografia pocztówkowego formatu stała w ramce z tłuczonego szkła, naklejonego kolorową mozaiką na tekturze. Antoni wziął ją do rąk i zbliżył do światła, do okna.

Zaciekawiła się fotografią i Pelcia. Zatrzymali na niej swoje oczy i zamyślili się... Przeszłość, młodość powracała jak żal...

Zdjęcie pochodziło z 1930 roku. Przedstawiało grupkę młodzieży w wieku mniej więcej od czternastu do siedemnastu lat. Ściślej: to stała zgrupowana w trzy rzędy piąta klasa gimnazjum z małego kresowego miasteczka. Gimnazjum, do którego uczęszczał Antoni.

— Boże! — westchnęła Pelagia — gdzież to teraz te dziewczęta i ci chłopcy... Przecież prawie wszystkich znałam. Jeśli nie osobiście, to z widzenia. Byliście w starszej klasie, niż ja...

I oto, na wzajem się uzupełniając, zaczęli sobie przypominać do kogo należały te twarze i jaki los spotkał zgrupowanych na zdjęciu, zdjęciu, które okazało się czymś trwalszym, niż niejedno zatrzymane na nim życie.

Pelagia, wysuwając wskazujący palec, policzyła: raz, dwa, trzy... Dwadzieścia osiem osób. Sześć uczennic i dwudziestu dwóch uczniów... Był to czas, kiedy jeszcze nie weszło w życie ujednolicenie stroju młodzieży szkół średnich. Zresztą, w tym gimnazjum nigdy ono w pełni nie zostało zrealizowane. Ze względu na trudne warunki materialne większości uczących się. Na zdjęciu niektórzy mają przepisowe mundurki swojej szkoły, przypominające krojem strój portierów z drugorzędnych hotelików, inni jakieś samodziałowe kurtki i frencze, zakończone bielą pikowych kołnierzyków á la Słowacki, które podkreślają uroczysty charakter chwili. Kilku ma nawet sztywniaki z krawatami. Stoją w sali rekreacyjnej na tle ściany, zarysowanej motywami wystylizowanych kwiatów.

— O, to zasługa księdza prefekta! — wtrąca Pelagia — to on kazał ściany pokryć rysunkami. Zawsze lubił, żeby wszędzie było ładnie...

W tej właśnie sali na zakończenie roku szkolnego piąta klasa zgodnie z tradycjami szkolnymi, postanowiła również „uwiecznić się"...

Wszyscy stoją, tylko w środku grupy na wiedeńskim krzesełku siedzi łysy mężczyzna. To opiekun klasy, nauczyciel języka polskiego.

— Fajny był facet! — wskazuje na niego Malkiewicz. — Dobrze wykładał! I wyrozumiały jaki...

— Nie wiesz, co się z nim stało? — zapytuje Pelagia.

— A, ot przypadkiem wiem. Raz spotkałem go w Łodzi. Nic dobrego. Uczył, uczył, wojnę przeżył w Grodnie, chorował na gardło... stracił głos, mówi prawie szeptem... Już wtedy nie wiadomo było, czy miał jaką rodzinę... Teraz sam, jak bylinka. Dostał posadkę w bibliotece... No, co tam płacą! Bidę klepie jak cholera. A jak, co nie daj Boże, zachoruje, to kto wtedy nim się zajmie? Dwadzieścia lat profesorował...

— Dobrze być inteligentem, ale tylko póki zdrowie służy — z westchnieniem zauważa Pelagia.

Teraz zaczęli kolejno przypominać szczegóły dotyczące uczniów. Zatrzymani na chwilę na fotografii, stoją cokolwiek uroczyści i przez to nienaturalni. Mimo to, można wyczuć nastrój: jakąś melancholię.

Większość z nich doszła do matury, potem — przezwyciężając rozlicznego rodzaju trudności — znalazła się na uniwersytecie. Kilku w drodze do matury utknęło, może nawet zbliżyło się do tego, co określamy pojęciem powrotnego analfabetyzmu.

Byli różni. Ale dojrzeć można i coś, co ich wszystkich łączyło: spodziewali się radości w dalszym swoim życiu; każdy — zgodnie ze swoją wyobraźnią — marzył o wzbogaceniu tego swojego dalszego życia. W lepszych wypadkach marzył również o tym, żeby wzbogacać także życie swego otoczenia. Każdy z nich starał się przezwyciężyć warunki domowe, wydobyć się na szerszy świat w skali co najmniej siedziby powiatu lub i województwa. Nieliczni — ale byli i tacy — myśleli o związaniu się z reprezentowanym przez siebie terenem, chociaż potem młodzieńcze zamiary niejednokrotnie wykpiwała dojrzałość. Chyba, że nie było wyboru: wtedy musiało się zostać w rodzinnym miasteczku. Ich ówczesne planowanie, podbudowane fantazją, odbiegało od konkretnych możliwości, chwiało się między dość daleko odsuniętymi od siebie biegunami. Na jednym z tych biegunów stali wyidealizowani, o wiele tonów przesadzeni bohaterzy Żeromskiego, na drugim, na przeciwnym — żywe, przeważnie mało wartościowe wzory, chodzące po ulicach miasteczka.

A najgorsze, że życie nie chciało uwzględniać marzeń. Może tylko jeden marzony wariant losu na sto czy tysiąc znalazł jakąś taką realizację w późniejszym marszu przez życie.

Ale oto stoją na fotografii... Pierwszy z brzegu od lewej — Justyn, hałaśliwy chłopak, syn nauczyciela szkoły powszechnej. Jako student poszedł w trzydziestym dziewiątym na wojnę i nie wrócił. Nigdy się nie dowiedziano, gdzie zginął.

Antek — lubił wojsko. Wyróżniał się w hufcu szkolnym. — Wiesz — mówi Pelagia — słyszałam, że jest kapitanem w Katowicach. Podczas okupacji podobno obijał się w Lublinie...

Rebeka, córka właściciela składu aptecznego, skończyła farmację. Zginęła w miasteczkowym getcie.

Lonek! O, ten to ciągle krył w sobie niespodzianki... Raz był Białorusinem, raz Polakiem Pisywał wierszyki do pisemka szkolnego. Na uniwersytecie grandził! Z podchorążówki przeniesiono go do pułku. Jeszcze przedtem siedział pół roku w twierdzy. Kapralowi zęby wybił, czy co... Jego ojciec miał kilka hektarów ziemi. Za carskich czasów był wiejskim nauczycielem. Lonek w początkach czterdziestego roku uciekł na Łotwę. Potem brał udział w walkach pod Monte Cassino, po dziś dzień podobno siedzi w Italii.

Bella Hofmanówna... Niska, czarna, chuda, brzydka. Bella uczyła się bardzo dobrze. Rodzice mieli w pobliskiej gminnej osadzie sklepik. Uczyła się dobrze, brak zdolności nadrabiając pilnością. Uchodziła za najpilniejszą uczennicę. Leniwi nie lubili jej. Zginęła w getcie.

Raśka, również córka sklepikarza. Wystąpiła z siódmej klasy. Zginęła w getcie.

Lucek! O, to ananas niezgorszy... Ładny i dobrze ubrany chłopak spod Mołodeczna. Syn zamożnych rodziców. Wydalany z różnych gimnazjów, wyladował w końcu w tym małym miasteczku, gdzie tylko nieliczni mogli się domyślać jego bujnej uczniowskiej przeszłości.

— Bogacz! — wyrywa się Pelagii. — Co miesiąc matka przysyłała mu czterysta złotych! Czte—rys—ta zło—tych! Miał własny motocykl. Pamiętasz, jak rozbijał się wszędzie motocyklem? Uczniowie mu się podlizywali, a i w ogóle chętnie wybaczano mu wiele grzeszków, które innemu nie uszłyby na sucho.

Na uniwersytecie należał do agresywniejszych korporantów. Służbę wojskową odbył w podchorążówce kawalerii w Grudziądzu. Co było potem, ani Antoni, ani Pelagia nie wiedzą.

Zelik Szenkman! Ten, to z biedy miasteczkowej. Strasznie interesował się techniką. Już wtedy konstruował detektorowe odbiorniki. Potem wyjechał do Palestyny. Dostał się na politechnikę w Tel-Awiwie.

Aleksy, syn fornala. Prymus w klasie. Po maturze zmienił wyznanie z prawosławnego na katolickie. W wojsku służył w sądownictwie, gdyż skończył prawo. Teraz w Gdyni podobno jest jakimś dyrektorem. W spółdzielni, czy też w instytucji państwowej.

Gabriel Pajkin, syn ogrodnika. Nie miał zdolności do nauki, ale zawsze za to miał dobry humor i śpiewał: dudni woda dudni w cembrowanej studni, dostać dwójkę łatwo, a poprawić trudniej... Silny jak niedźwiedź, miał wiele cech wspólnych z żydowskimi tragarzami, którzy przeważnie należą do odważnych ludzi.

Opowiadano, że kiedy rankiem przyjechał oddział esesowców i otoczył ulicę getta, Gabriel podpalił spichlerze. Miał rewolwer i strzelał. Zginął jako jeden z pierwszych.

Obok Pajkina stoi wysoki szczupły młodzieniec o jasnych włosach. Książę z pochodzenia. Jego ojciec dożywał swój wiek w miasteczku. W pobliżu mieli niewielki majątеczek ziemski. Jedyny ze świetności wieków, jakże skromny, ślad. W związku z tym Jarosław, który pierwsze klasy gimnazjalne ukończył w Warszawie, dalsze musiał przechodzić tutaj, w pogardzanym miasteczku. Wcześnie zaczął chodzić „na dziewczynki".

Miasteczko miało dwie oficjalnie uznane i zalegalizowane dziewczynki. Jedną z nich co sobota odwiedzał systematyczny we wszystkim nauczyciel geografii. Pod zawieszonym prześcieradłem oknem domku, w ciemnościach wieczoru gromadzili się co śmielsi uczniowie i, zgrubiając głosy, wrzeszczeli:

— Panie profesorze, niech pan uważa. Anastazja ma trypra!

Otóż ten Jarosław, wbrew powszechnym oczekiwaniom, potem bardzo pomyślnie skończył wyższą szkołę handlową i jeszcze na krótko przed wojną usamodzielnił się.

Tadek, syn emerytowanego starosty powiatowego, właściciela dwustu hektarów ziemi, należał do powszechnie lubianych kolegów. Gdy chciał, to dobrze się uczył i wzorowo sprawował. Ale nie zawsze chciał. Lubił podczas przerw śpiewać „Międzynarodówkę" i w ogóle organizował chór we wszystkich wolnych od zajęć chwilach. Zginął w Katyniu...

— Cicha woda, ale z takich, co nie rwała brzegów! — śmieje się Pelcia, wskazując na wysokiego Antka. Pochodził z drobnej szlachty, rodzice mieli nieduży folwarczek i pięciu synów. Antek został zawodowym oficerem piechoty. Po wrześniu nikt o nim nic nie słyszał, ponieważ rodzice jego mieszkali o jakie siedemdziesiąt kilometrów od gimnazjalnego miasteczka.

— To była niczegowata dziewczyna — wskazuje Malkiewicz na kędzierzawą główkę Jadwigi, córki komisarza ziemskiego.

— A co potem z nią się stało?

— Po maturze zdaje się, że wyszła za mąż...

Ten w okularach, to Pawełek. Jeszcze w szkole nazywano go literatem. No, i tak zostało. Pracuje w gazetach.

— Sama raz czytałam jego nazwisko — stwierdza Świderska.

Ezry Waksmacher, syn właściciela sklepiku galanteryjnego. Obok niego stoi Faustyn, przezwany Jaroszką.

W tym miejscu Pelagia zamyśla się.

— Wiesz — mówi — co to czasem może się stać? Aż dreszcz mnie bierze

— Dlaczego?

— E, bo tobie o tym prawdopodobnie nikt nie opowiadał! Pamiętasz chyba jednak, że Jaroszka i Waksmacher bardzo dobrze ze sobą żyli...

— Pamiętam! Przecież siedzieli na jednej ławce... Waksmacher klasówki pisać mu pomagał!

— ...Za Niemca Jaroszka rozpił się, zrobił się Białorusinem. Mówił tylko po białorusku. Zrobili go komendantem policji w Stelmachowie. Niedobry był. Zawsze pijany. A przed nim to leżała ichnia gazeta... „Minsker Zeitung"... W tej gazecie był malutki kawałeczek miejsca po białorusku. Znam tę gazetę. Ten kawałeczek miejsca nazywał się „Mienski Kurjer" i przynosił „Nachrichten in weissruthenischer Sprache"... Jeszcze gdzieś w papierzyskach mam numer czy dwa tej gazety! Waksmacher po likwidacji getta ukrywał się, mało to wtedy ludzi siedziało po lasach! (My sami co wieczór zostawialiśmy w łaźni pół bochenka chleba... Łaźnia, chyba pamiętasz, znajdowała się na brzegu osinowego lasku... Chleba nigdy z rana nie było!) Ale kiedyś ktoś przyprowadził Waksmachera do Jaroszki na posterunek. Jaroszka nic nie mówiąc wziął go, zaprowadził na brzeg jeziora i rozstrzelał... Potem partyzanci kropneli Jaroszkę...

Pucołowata Bronka z małego folwarczku zdążyła jeszcze przed wojną skończyć medycynę.

— I wiesz co, ta Bronka zawsze była zuch! — z zadowoleniem stwierdza Pelagia.

— Latali za nią chłopcy... zadkiem nieźle wierciła...

— To, i cóż! Jest lekarzem, zgadnij gdzie?!

— W Paryżu...

— Prawie zgadłeś! Tu, u nas, w Ł... Uprzejma taka, nie drze z ludzi...

Bronek, syn koszykarza, zginął w partyzantce. Przed wojną, po maturze, pracował na poczcie. Jego ojciec, trochę już zniedołężniały, został na Wileńszczyźnie. Nie chciał jechać. Tam, powiedział, gdzie urodziłem się, tam i umrę. Ze mnie starego — mówił — nikomu już nie będzie żadnej pociechy.

Małka Swierdlinówna, magister nauk przyrodniczych, zginęła w getcie w Hermanowiczach. Chaim, brat Zelika, żyje. Uratował się i mieszka w Szczecinie.

Przegląd ma się ku końcowi. Jeszcze został do wyjaśnienia los kilku postaci. Więc ten przy korpulentnym barczystym Zygmuncie, czarniawy, trudno przypomnieć kto to... Przez chwilę biedzą się nad tym oboje, niestety, pamięć nie dopisuje. Cóż, może przypomną kiedyindziej? A Zygmunt? Zygmunt skomplikowane miał życie. Sierota. Korzystał z niezbyt serdecznej opieki swego wujka, osadnika wojskowego. Po maturze rok przewałęsał się na uniwersytecie, chciał otrzymać stypendium, ale nie udało się. Potem, dość niespodzianie, wstąpił do klasztoru Augustianów w Krakowie. Terminował tam coś z siedem miesięcy. Ale nie miał w sobie widocznie zakonnego powołania, nauczył podobno braciszków grać w preferansa i śpiewać tanga. Co wieczór brzdąkał na gitarze... I dobrzdąkał się: wyproszono Zygmunta z gościnnych murów klasztoru. Pomagał potem w gminie pewien czas. Ale nie miał etatu, pracował tylko w okresie nawału pracy, związanej z wymierzaniem podatków. Z natury obdarzony poczuciem humoru, urozmaicał sobie różnymi sposobami nudę gminnego osiedla. Przez dwa lata z rzędu co dzień regularnie o ósmej rano wstępował do miejscowej agencji pocztowej i pytał, czy nie przyszło na jego nazwisko stypendium z Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W związku z tym mówiono nawet o nim, że zwariował, co oczywiście było nieprawdą. Mimo to jednak — będąc człowiekiem inteligentnym, dowcipnym, a jednocześnie zawiedzionym — ustalił sobie opinię niepoważnego. Kiedy zrozumiał, że nie należy tej opini lekceważyć, gdyż kryje w sobie niemiłe konsekwencje na przyszłość już wybuchła wojna. W początku 1940 roku został razem z wujem wywieziony do Archangielskiego obwodu. Więcej nic o nim nie wiadomo.

Obok Zygmunta stoi gładki, z wypomadowaną grzywką na czole Janek, syn zamożnego chłopa, przysięgły ministrant, potem słuchacz św. teologii, ksiądz.

— Gdzieś podobno siedzi na parafii — informuje Pelagia.

A ten wielki, rozczochrany, to Bolcio. Mówiono, że był pochodzenia litewskiego, chociaż w tamtych okolicach nigdzie nie było Litwinów. Jedno jednak było niewątpliwe: harował. Uczył się z trudem. Aż niekiedy



nawet z niego żartowano: „I po co ty, polano, uczysz się?! Przyjdzie kiedykolwiek wojna i ciebie, uczonego maturzystę, zastrzeli jakikolwiek łachudra bez wykształcenia..."

Bolek, jako podporucznik, na Saskiej Kępie w 1944, kiedy przed nimi za Wisłą płonęła Warszawa, stracił prawą rękę...

— O, to też było ziółko! — woła Pelagia, tykając palcem w twarz ponurego Włodzimierza. — Nigdy nie był spokojny... Wszędzie o nim mówiono... Chyba przypominasz sobie?

Antoni przypomina Włodzimierza, syna białoruskiego chłopa. Włodzimierz w piątej gimnazjalnej był najstarszy wiekiem. Miał dziewiętnaście lat. „Bohoiskatielem" go nazywali. Ciągle nad czymś się zastanawiał. Przedtem uczył się w białoruskim gimnazjum w Wilnie. Potem go stamtąd wydalono. Coś politycznego. W 1931 roku uciekł przez zieloną granicę do Sowietów. Szerzono wtedy takie nastroje, żeby uciekać. Odtąd nikt nic o nim nie wie. Początkowo utrzymywały się pogłoski, że go stamtąd wrócono, potem w ogóle przestano tym się interesować.

Sergiusz, syn popa, cichy i łagodny chłopak, dobry uczeń i kolega, bez wstrząsów skończył uniwersytet. Chemię. Dlaczego przy Niemcach potem zmienił się? Dlaczego został burmistrzem w jednym z miasteczek? Prawda, nie słychać było, żeby komukolwiek robił świństwa. Co prawda, to prawda... Potem jednak z nimi uciekał.

Grupkę zamyka, ostatni na prawym brzegu fotografii, Antoni Malkiewicz. Ach, jaki młodziutki, jaki szczeniak! I jak śmiesznie patrzy w górę! Stoi we frenczu i w butach z cholewami.

— A cóż o tobie powiedzieć, panie Malkiewicz? — zwraca się Pelagia. Malkiewicz w jej tonie wyczuwa leciutką drwinę. Milczy. Milczy i myśli. Niewiele może o sobie powiedzieć. Właściwie niczego nie dokonał, a drogę miał trudną. Wzdycha. Dobrze przynajmniej, że nie dał się zepchnąć w ciemność. Że chociaż jak był rolnikiem, tak oto znowu powoli, na nowo nim się staje. A niebezpieczne przechodził tarapaty. Dobrze, że nie dał się przynajmniej zepchnąć w ciemność.

— Pamiętasz, Antek — teraz Pelagia robi się sentymentalna — jak to czasem zbierzemy się, uczniowie, i śpiewamy: „Za rok, za dzień, za chwilę, razem nie będzie nas"...

— I prawda!

— Tak, prawda, ale czyż kto piętnaście lat temu myślał, że nie będziemy razem aż w taki sposób?

— O, porozmiatało ludzi po świecie! Po niektórych już nawet kości nigdzie nikt nie znajdzie.

— O niektórych już nawet nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek żyli — dodaje Pelagia.

Milczą. Wzdychają i nie wiedzą o tym, że ciągle na ten sam temat: „Czyż zawsze tak będzie rozmiatać?"



Lublin

rys. A. Kamieńska

Anna Kamieńska

LIST Z LUBLINA

Zjazd Kierowników Domów Dziecka uczynił dla miasta na parę dni aktualną sprawę dzieciństwa. Widzieliśmy wystawę prac dzieci i pokaz artystyczny, jak zawsze mówiący więcej o wychowawcach, niż o wychowankach. Przyglądaliśmy się tej sumie bezradności i dzieciństwa, przechodząc przez sale gęsto zastawione łóżkami, wstępując do świetlic, w których młodzi witają nas z otwartym entuzjazmem, sprawdzają realność gościa, obejmując i dotykając każdy szczegół ubrania, wspinają się na kolana i próbują czułych rodzinnych określeń, starsi z większą rezerwą i zażenowaniem, z rozleglejszą wiedzą obcości obcych.

Zresztą objęta opieką zamkniętą jest część bodajże nie najsmutniejsza. Znamy i głębsze zakamarki dzieciństwa — swobodne w kątach podwórek, obok klozetów, zamykane w domach, gdy matka wychodzi do pracy, wpadające pod nogi przechodniom na krzywicznych nóżkach, zorganizowane w grupy: dziewczęce, które odwiedzają domy żałoby i męskie — wrzucające przez szyby kamienie do mieszkań.

Jakież jest socjologiczne uwarunkowanie tego dzieciństwa?

W Domach Dziecka przeważają dzieci ze środowiska chłopskiego. Przyczyniła się do tego zarówno struktura gospodarcza rolniczej Lubelszczyzny, jak i niemieckie wojenne pacyfikacje, które przysporzyły opiece społecznej wiele sierot i pół-sierot. Przywożono do Lublina wagonami z południa osamotnione dzieci, przeważnie małe, urodzone już w czasie wojny, słabo rozwinięte i niedożywione. Niewielką przysługę spełniali przeważnie ci, którzy decydowali się brać je „na wychowanie". Dzieci, nad którymi litowano się łatwo, nie zawsze umiały zarobić na miłość — powracały do zakładu opiekuńczego, gdzie nie patrzy się na „mądrość" i wdzięk osobisty.

Charakterystyczna dla Lublina jest warstwa nieokreślonego chłopsko - robotniczego proletariatu. Wytwarza ją zarówno sezonowość całego bodaj lubelskiego przemysłu związanego z rolnictwem: cukrownia, krochmalnia, monopol tytoniowy, gorzelnia, drożdżownia itd., jak i napływ ludności wiejskiej, ciągle w pewnej mierze zbędnej na wsi, a w mieście biorącej się do drobnego handlu i takich wolnych zawodów jak np. stróżowanie w domach. Najbardziej charakterystycznymi punktami miasta, gdzie bije jego życie, są targi zapełniające się codziennie ludnością wiejską, ściągającą do miast pociągami, furmankami i piechotą. Jedni zbywają tu produkty pracy, inni — liczniejsi — powodują ekonomicznie bezsensowny, lecz utrzymujący przy życiu całe rodziny, ruch starzyzny, handel prawie zamienny, w którego interesie leży jak najpóźniejsze i najbardziej zawiłe docieranie do celu.

Ta warstwa ludności o niestałym dochodzie i żadnej przynależności do instytucji pracy i organizacji ma przewagę na przedmieściach Lublina. Jest to miasto kościelne i handlowe, nie robotnicze. Kościoły lubelskie stanowią podobnie jak targi — ambasady chłopskości w mieście. Nie dziwi mnie to, że TUR notuje w Lublinie słabą frekwencję na swoich imprezach. A inteligencja katolicka ma przyjemne poczucie całkowitego rozbrojenia problemu społecznego wobec odczytu, jaki wygłasza ks. biskup Wyszyński na temat: „Państwo a robotnicy według nauki Leona XIII".

Robotnicy sezonowi fabryk lubelskich po ukończeniu „kampanii" wracają na targi i do drobnego chałupnictwa. Zwiększa się wtedy na ulicy liczba wózków z cukierkami i galanterią, zwiększa liczba rąk przykładających się do każdego zbywanego przedmiotu.

W czytelni „Społem" i w TUR widzi się małe nawet dzieci pochylone z uwagą nad książkami i pismami. Z tą samą uwagą inne dzieci na Starym Mieście badają zawartość rynsztoków i podwórzowych śmietników. W tym mieście mającym najgorszą sławę miasta gruźliczego, otoczonego bagniskami i powolnymi ściekami rzecznymi, większość domów opiekuńczych mieści się w starych poklasztornych kamienicach, uratowanych — oczywiście cudem — od pocisków wojennych.

Ileż prawdy mogliby o tym dzieciństwie lubelskim powiedzieć opiekunowie społeczni, sędziowie w sądach dla nieletnich i lekarze. Obserwacje ich i wyniki pracy nie docierają, niestety, do opinii społecznej, nie niepokoją publicystów w pismach społecznych. Społecznikowska powieść XX-lecia dotykała tych problemów traktując je jednak albo zbyt psychologicznie albo naturalistycznie. A przecież Dickens krytykę ustroju przeprowadzał na dziejach dzieciństwa. Nowelistyka naszych pozytywistów w losach dziecka pokazywała tragiczne nieprawidłowości systemu.

Zależność dzieciństwa od splotu warunków geograficzno - ekonomicznych wydawać się będzie zawsze krzywdą, jeśli będziemy je uważać za kategorię psychologiczną lub — co gorsza — metafizyczną, jak „Człowiek" — pisane dużą literą. Te dzieci mają więcej świadomości społeczno - politycznej, niż sądzimy. Postulat wychowania politycznego, poczynając od wieku najmłodszego, — postawiony na zjeździe — wywołał pewną konsternację wśród tych wychowawców, którzy przecież uczą dzieci anczycowego patriotyzmu w wierszyku: „Kto ty jesteś? Polak mały"... itd. Uważają oczywiście, że wychowanie ich nie jest polityczne! Przypominam sobie jednak, jak w czasie okupacji w jednym z lubelskich punktów dożywiania dzieci dawano jakiś czas zupę z robakami. Po prostu w zapasach kaszy zalęgły się robaki podobne do małych pędraków. Trudno je było łyżką zgarnąć. — Żeby taką tylko zupę dać tym, co są na Majdanku, albo w innych obozach, albo jeńcom rosyjskim, to by się jeszcze oblizali — mówili chłopcy i jedli zupę. Jadła także wychowawczyni, na którą w domu nie czekał drugi obiad.

Lublin, jak każde miasto młodości, ma jakieś „metafizyczne" powietrze. Groza i lęki nocy w dzieciństwie, spowodowane podobno tym, że się rośnie, a potem długie światopoglądowe i bogoburcze rozmowy i spacery po cmentarzach. Utopił się w Wiśle poeta Michalski i w kieszeni jego znaleziono list o śmierci i tej żółtej glinie, na której leży cmentarz lubelski. Czechowicz uczył: „...że pod kwiatami nie ma dna". Pisaliśmy wiersze, których opisowy liryzm był podobno ściśle lubelskiego chowu i którego „piękność" zganił odrazu po przyjeździe do Lublina Mieczysław Jastrun.

Wzrusza mnie jednak zawsze Pleśniarowicza „Płacz małej w ciemności śnieżnej" i nadzy chłopcy na łąkach Julii.

Letni wieczór w Lublinie wyprowadza na ulice tłumy młodzieży. Kiedy główne ulice pustoszeją — przedmieście robi najazd na miasto. Tylko pustą jezdnią od czasu do czasu przesunie się człapiąc koń dorożkarski. Wówczas i kobiety z twarzami ogorzałymi od kuchennej blachy wychodzą przed bramy i na ulicy usypiają swe niemowlęta. Jeszcze nie zaczęto zamiatać. Łagodne, zamglone od kurzu, wieczornie zaśmiecone miasto dla dzieci.

Szliśmy na cmentarz z grupką dzieci z biednych, proletariackich rodzin. Wojenne bombardowania, walki i sławny więzienny mord na zamku poszerzyły cmentarz o całe zagony równych nowych mogił.

— Ja tylko myślę — mówi mały chłopak — ile tam butów jest, pod ziemią.

Tak, skóra jest ciągle produktem najrzadszym. Praca w garbarni najlepsza. Cena butów na wolnym rynku — najwyższa, przekracza o wiele przeciętne miesięczne zarobki rodzinne. Handlować skórą nie wolno.

Tak to sprawa śmierci, związana z miastem młodości, uzyskuje całkiem realną i jakby marksistowską interpretację w ustach dziecka.

Jerzy Andrzejak

OBJAWIENIA W KULTURZE

A. — Cóż to za książkę tak pilnie wertujesz, jakbyś w niej szukał rozstrzygnięcia „sporu o istnienie świata"?

B. — Nie! To „Lżejszy kaliber" — Irzykowskiego. Szukam zaś tu wytłumaczenia dla przejęzyczeń, potknięć stylistycznych i podobnych zjawisk językowych. Przerzucając ostatnio roczniki jednego z pism partyjnych znalazłem w numerze poświęconym pamięci znanego trybuna ludu, świetnego mówcy parlamentarnego, stenogram jego przemówienia i tam właśnie taki bodajże zwrot, który uszedł oka korektora: „Moje stronnictwo kręci nosem przez usta mojego przedmówcy na powyższy projekt..." Zdaje się, że Irzykowski gdzieś o tym wspomina w swej książce.

A. — Masz rację! Cytuje i ten i sporo innych podobnie zwichniętych zwrotów, ale, jeśli ci tylko chodzi o powiększenie ich zbioru łatwo mogę zadośćuczynić twemu życzeniu sięgnąwszy do swej pamięci. Na przykład! Jak ci się podoba taki autentyczny kombatancki: „To samo serce bije pod spódniczką szkockiego gwardzisty, co w spodniach francuskiego żuawa", albo inny: „Te ideały wyssaliśmy z piersi dziadów naszych..." Zresztą piękny ich zbiór możesz o wiele łatwiej znaleźć w „Camera obscura" Odrodzenia.

B. — Otóż to. Ty wszystko traktujesz pod kątem dowcipu, jak „camerzysta". Tymczasem chodzi o coś poważniejszego w tej sprawie, o to, co w „Camera obscura" jest przychwytywane rzadko, choć tylko dla tego celu powinna istnieć owa rubryka. Jeśli chodzi o dowcipy, mógłbym ci sam dać kilka próbek pseudonaukowego stylu. Ten np.: „Jak się okazuje — pisze ktoś, referując wyniki badań nad autorstwem Iliady — autorem Iliady i Odyssei nie jest Homer, ale inny zupełnie osobnik o tym samym nazwisku, również ślepy..." Nie o dowcipy przecie chodzi. Z twoich przykładów do moich celów nadaje się ten z „ideałami wyssanymi z piersi dziadów". Mógłbym go śmiało przypisać owemu zapienionemu endekowi, brezszącemu na jakimś studenckim zebraniu o „Sobieskim, który pod Wiedniem odparł nawałę bolszewicką..." Ta sama historiozofia, a właściwie strzępy tej samej historiozofii i poglądu na kulturę. Plącze się w tych zdaniach stara idea przedmurza chrześcijaństwa z antyradziecką postawą kół, z których pochodził mówca, tradycjonalizm z naturalistyczną koncepcją kultury.

A. — Mam wrażenie, że trochę naciągasz, trochę przesadzasz i odrobinę zmyślasz...

B. — Tak dalece wydaje ci się nieprawdopodobne, że źródło owych potknięć tkwi w błędach intelektu? Sięgnę przeto do całkiem sprawdzalnych przykładów. Widzisz — to jest „Miesięcznik Ludowy" (R. I. nr. 1 — marzec 1947) dział „Z naszego archiwum". Schemat organizacyjny „Wsi Tworzącej". Przykład będzie może mniej śmieszny, bo żeby nie zniekształcać muszę zacytować dłuższy fragment:

„Wyższą ponad region formę prac organizacyjnych stanowi Okręg, względnie Kraina. Mieści się on, po uwzględnieniu wskazówek etnograficznych, w granicach województwa.

Łączą się w nim **formy oddolne z formami centralnymi.** Stoją tu dwa zadania:

a) Ułatwienie i połączenie pracy regionów, tworzenie planu pracy, nadzór fachowy i ideowy.

b) **Transmitowanie form drobnych w jeden punkt centralny, w ład wynikły z jednolitego planu i zamiaru twórczego, a zaistniały w formie prostej — rządu nad twórczością ludową i kulturą ogólną.**

„Autonomiczne związki" mają stać się ogniskami nowych prądów, kuźnicami stylów. Bić ma z nich wolna twórczość artystyczna i energia twórcza".

Że taki bełkot coś znaczy, dowodzi inny dział „archiwum", zatytułowany: **„Program"** (organizacyjno-ideologiczny), gdzie znajduje się następujący passus:

„Tworzenie własnej grupy ideologicznej, zalążka duchowego pod nowy styl literacki i formę artystyczną..."

Choć zdania nie cytuję do końca, nie zniekształca to jego konstrukcji.

Czyż jeszcze cię to nie przekonało? Ten pseudo — program, przypominający określeniami beczkę, którą dopiero trzeba czymś napełnić, jest wynikiem pedagogii pewnych kół działających na wsi; tych kół, które już od dawna rościły sobie pretensje do monopolu ideowego, do monopolu na wprowadzenie chłopa w świat kultury, kół, które i dziś jeszcze — mimo zmienionych warunków — mają swoich osobliwych protektorów. Pokora — prorok „Wsi Tworzącej" — wyrósł z kół wiciowych. To „Wici" przede wszystkim hołdowały wierze, szczepiły w Uniwersytetach Ludowych wiarę w autonomiczność kultury — bogactwa duchowego człowieka, wiarę w bezwzględną jej wartość niezależną od czasu i warunków. To dobro należy tylko udostępnić szerokim masom chłopskim, rozpowszechnić je wśród nich, a już doprowadzimy do Odrodzenia (z dużej litery) kultury. Uporczywie nie chciano w niej widzieć wytworu dziejów, określanych całym szeregiem czynników, od których zależny jest jej żywot i rozwój. Dostrzegano w niej przez wąskie okulary idealizmu rekwizytornię strojów, w które wystarczy się oblec, żeby wydawać się kulturalnymi,—więcej!—żeby stać się doprawdy kulturalnymi.

Oni to w cytowanym na łamach „Wsi" (Nr. 21 z 2 czerwca 1946) programie Uniwersytetów Ludowych tworzyli taką samą beczkę na idee kultury, mówiąc m. in.:

„U. L. **rozpala emocją życia i wiąże uczuciowo ze środowiskiem. Roznieca pożądanie wiedzy** i wskazuje jej źródła. **Usamodzielnia w myśleniu. Budzi i utrwala odpowiedzialność społeczną. Wyodrębnia osobowość i wiąże ją w społeczność. Uczy wnikania** w siebie — uczy zdolności. **Uczy wiązać zjawiska i nurty w jedność".**

Zobacz też, jak ma wyglądać „Wieś Tworząca" w terenie (art. Jana Stelmaszczyka, Miesięcznik Ludowy, R. I. Nr. 1, marzec 1947 roku). Ograniczę się do zacytowania jednego fragmentu przewidywanej działalności:

"Należy wreszcie przewidzieć puste miejsce na dział ogólny (w funkcji archiwalnej, uwaga moja). Ktoś znajdzie starą monetę, ten znów miecz jakiś, czy dziryt, tamten wykopie urnę, inny da się przekonać, że książka, obraz, czy naczynie przyniesione ze dworu, ma wartość zabytkową i artystyczną. A co będzie z bieżącą produkcją wsi twórczej? Bezwzględnie należy przewidzieć półkę, gdzie pisarze, pamiętnikarze i scenopisarze chłopscy będą mogli składać swe „bazgrania". Zwrócić trzeba jak najżywszą uwagę na bieżącą twórczość artystyczną, bo ten chłopak rysuje, tamten dziad rzeźbi świątki, ta dziewczyna ślicznie tka, czy wyszywa, czyni pisanki, lub wycinanki. Przynieść to do archiwum, nie zawsze to rzecz tak marna, jak nam się wydaje, czasem ta „zabawka" więcej warta niż ciężka na chleb praca. Stworzyć trzeba jakgdyby **salonik** twórczości artystycznej ludu, owszem, pozwolić go zwiedzać ludziom i kupować nawet eksponaty, przynoszone tu na „pokaz".

W dziedzinie języka nie chciano zrozumieć, że system językowy powinien przede wszystkim odpowiadać potrzebie porozumiewania się na szczeblu rozwoju życia gromadnego, jaki określa przeszłość danej klasy i organizacja gospodarcza, pozostałe jego funkcje wyrastają dopiero z tego podłoża, podlegając przekształceniom w obrębie swojej struktury. Był to osobliwego nabożeństwa formalizm kulturowy, przeważnie wywodzący się z okresu Młodej Polski. Stamtąd też wywodził się w różnych odmianach ów śmieszny i żenujący bełkot frazeologiczny.

A. — Tak. Tu zgadzam się z tobą. Pokora i „pokorszczyzna" istotnie przypominają objawienia epigona młodopolszczyzny w kulturze: Stacha z Warty Szukalskiego.

B. — O właśnie! Nie od parady też w Miesięczniku Ludowym (Nr. 2—3) znalazła się pochwała działalności jednego z uczniów Stacha — Czcibora Cholewy, spadkobiercy również idei swego „stryka" Władysława Orkana. Przeczytaj refleksje i uwagi Leona Pokory na temat występów góralskiego zespołu tańca, muzyki i gawędy Czcibora Cholewy, zwłaszcza polecam ci zakończenie, a zobaczysz na czym polega pokrewieństwo. Zresztą posłuchaj:

„Skrzyżne podskoki i inne techniczne środki — pisze na zakończenie swego artykułu Pokora — nie stanowią jednak o wszystkim. Niezwykłą rolę odgrywają oczy artystów, które hypnotyzują. Ja odróżniam np. Józka Marka z życia od Józka Marka z estrady, kiedy we wspaniałym „zbójnickim" **odżywa w nagłej poincie (sednie) starego mitu, który to jakby czytał ruchem nóg i ciała; wtedy to treść „hyrna i siumna" niesie się na salę, stawiając ją przed nową rzeczywistością, zaistniałą li tylko w wyrazie jego ócz — przez pantomimę wzruszeń, jaką staje się taniec — bezsprzeczna tu, ludem wytworzona — sztuka ludowa".**

Ale możemy pójść jeszcze odrobinę dalej. Posłuchaj również wyznania Pokory („Nie śpieszyć się z wyrokiem"), sprowokowanego recenzją „Wsi", ściślej uwagami recenzenta o „Wsi Tworzącej" jako bazie Miesięcznika Ludowego (Miesięcznik Ludowy R. I. Nr. 6—7 sierpień — wrzesień 1947 r.).

— „Chcemy w myśl swoich założeń, dotrzeć do samej wsi, do jej rezerwuarów kulturowych, stojących poza istnieniem, a przecież istniejące w życiu. I ten paradoks określa dla nas termin „chłopskie ghetto kulturowe", z którym „Wieś" tak walczy".

To już jest autentyczna i w najlepszym stylu „Camera obscura". Tu zamyka się krąg błędu intelektualnego i potknięcia stylistycznego, dziwacznej frazeologii i bałamutnej filozofii kultury.

Z tej perspektywy dopiero zrozumieć można, jak dobrze się stało, że do świadomości redaktora jednego z najbardziej wpływowych pism literackich dotarł fakt, z którego nie tylko ogół obrońców kawiarnianych klasyków, wyjeżdżających w teren na wieczory autorskie po wsiach, nie zdawał sobie sprawy, ale nawet wielu działaczy organizujących tzw. upowszechnienie kultury. Sam fakt nie jest taki znów wstrząsający, ani odosobniony, a już jak objawienie może podziałać tylko na tych, którzy mają swoisty pogląd na kulturę i mechanikę jej rozwoju.

Cytowany przez red. J. Berejszę wyjątek z pracy 19-letniej Heleny Pawłowskiej, wieś Kadzidłowa, pow. łęczycki, woj. łódzkie, nadesłanej na konkurs tyg. „Odrodzenie" p. t. „Opis mojej wsi" — nie jest tylko sprawą zaśmiecenia naszego języka, języka literackiego zwłaszcza, obcymi wyrazami. Nie jest to także rzecz, wynikająca tylko z naiwnego przeświadczenia, że przez użycie bardziej wyszukanego lub obcego wyrazu, treść wypowiedzi zbogaci się, zyska na znaczeniu i doniosłości.

To jest właśnie wynik upowszechniania idealistycznych lub bez wyboru, byle z rozmachem pchanych na wieś, wartości kulturowych.

Trzeba wieś uzbroić intelektualnie, by mogła zrozumieć swą pozycję w społeczeństwie, a nie ulegać znachorskim receptom Jalu Kurka.

F A K T Y i Z D A N I A

Jeden łatwy żywot

Otrzymaliśmy odpis podania o pracę. Brzmi ono tak:

„Proszę o przyjęcie mnie do pracy w Przemyśle Konfekcyjnym w charakterze dziurkarki (maszynowej).

Prośbę swą motywuję następująco:

W r. 1940 umarł mi ojciec, w r. 1942 matka, zostałam, mając wówczas 16 lat wraz z siostrą 19-letnią i drugą 14-letnią, bez wszelkiej pomocy i opieki dalszej rodziny, wobec nieistnienia dalszej rodziny. Ojciec, pomocnik murarski, żadnego oczywiście majątku nam nie zostawił. W roku 1943 w marcu z łapanki zostałam wywieziona na roboty do Czech (Sudety, Biskupice), skąd wróciłam w roku 1945 i zaczęłam pracować w firmie konfekcji męskiej „Wisła" w Krakowie.

Pracowałam tam do grudnia 1947 r., dopókąd firma „Wisła" nie została zwinięta. W międzyczasie wyspecjalizowałam się na fachową dziurkarkę. Od początku roku 1948 przebywałam parę miesięcy u siostry starszej, próbując dorywczych prac krawieckich, od dwóch miesięcy bez skutku (poprzez Urząd Pracy) dobijam się w Łodzi do wrót przemysłu konfekcyjnego, jako. pracownik tej branży.

Stawiam Dyrekcji przy okazji pytanie.

Dlaczego dla mnie są zamknięte drzwi fabrycznej szkoły (odzieżowej np. w Państwowych Zakładach Przemysłu Bawełnianego) z tego powodu że już do młodocianych, bo mam 22 lata — nie należę.

Ale przecież kiedy miałam 17 lat, wywieziono mnie na roboty z kraju. Kiedy wróciłam miałam lat 20. Jeszcze wówczas szkoły fabryczne nie miały rozgłosu, a może ich nie było wiele. Stanęłam od razu do pracy. Po siedmiu oddziałach pracowałam ucząc się technicznej specjalności — jestem dziurkarką. Czy moja wina, że firma „Wisła" (prywatna) kiedy jej wzrost produkcji (naszymi rękoma i głowami) pomnożony przekroczeniem liczby 50 robotników, właściciel wolał firmę zamknąć? Dlaczego ja nie tylko tracę szansę zawodowego kształcenia się, ale i pracę, jako mały, drobniutki, ale specjalista. Dlaczego młodsze roczniki (przed 18 rokiem życia) mają uprawnienia do szkoły zawodowej fabrycznej, a ja nie? Jeżeli oni mają dziś 16, 17 lat, tzn., że w okresie wojny świadomie nie przeżyli nic ciężkiego i w tej chwili nie umieją technicznie również nic. A ja byłam na robotach (17 lat) i tak dojrzewałam społecznie. Ja dziś jestem człowiekiem fabryki i robotnicą - specjalistką. I jestem sama, sama bez oparcia rodzinnego. Dlaczego dla mnie nie ma opieki i pomocy, pomocy dla otrzymania pracy (co najmniej) a mogłabym też otrzymać pomoc dla kształcenia się zawodowego przy fabryce.

Ja stawiam to pytanie Dyrekcji. Proszę pamiętać, że życie obeszło się ze mną źle, że jestem kobietą i mam 22 lata. Umiem pracować, pracowałam, chcę pracować, a jeśli pracy w dalszym ciągu nie dostanę?"

Jest to list-podanie przedstawicielki tragicznego pokolenia, które w trudnych warunkach wojny i okupacji dojrzewało społecznie. Pokolenie to staje dziś do odbudowy kraju, bo umie pracować, pracowało i chce pracować. Chce się także uczyć i ma pełne do tego prawo. Jeżeli kiedyś w latach wojny życie obeszło się z nim źle, to chyba teraz ta sytuacja powtórzyć się nie może.

Inaczej musielibyśmy dokończyć podanie 22-letniej dziurkarki, człowieka fabryki i robotnicy-specjalistki. A koniec byłby smutny: może... ulica, a może nawet samobójstwo.

pp.

Jak wam się podoba?

Nie jeden z Was pamięta, inni na pewno słyszeli, jak to dziedziczka z kroplami królla duńskiego obchodziła czworaki. Te tradycje zupełnie nie wygasają, choć przybierają nieco odmienny kształt.

Zorganizowaliśmy tu w Łodzi przy naszej instytucji koło opieki nad jedną z wiejskich szkółek. Ułożyliśmy, a jakże, regularny budżet. W przewidzianej kwocie pół miliona zł mieściły się wydatki na książki, buty, ubranka, urządzenia świetlicowe, gry sportowe, środki lekarskie i dentystyczne itp.

Pieniądze wspólnym wysiłkiem jakoś zdobyliśmy.

Na święta pojechaliśmy odwiedzić szkołę, którą opiekujemy się. Każde dziecko dostało paczkę ze słodyczami, jakiś drobiazg z garderoby i po pół kilo cukru na głowę.

Nie powiem, żeby powitanie wypadło zachęcająco. Czołobitności było zbyt wiele. Gorliwa nauczycielka nawet wiciową piosenkę „Ode wsi do miasta" odpowiednio do uroczystości zmieniła. Miast: „Pięknie was witamy, w pas się nie kłaniamy" — usłyszeliśmy: „Pięknie Was witamy i w pas się kłaniamy".

Nie zrażaliśmy się niefortunnym początkiem. Wkrótce posłaliśmy kilka par butów. Rozdział ich powierzyliśmy Kołu Rodzicielskiemu przy szkole — przecie ono lepiej wie, komu buty są potrzebne. Kto dostał buty? Ano! ani jedna sierota, ani jeden nędzarz. Bardziej potrzebowały tych butów dzieci „członków" Koła Rodzicielskiego, kilka kułacząt itp.

Na święto ludowe postanowiliśmy wysłać po dzieci samochód żeby zobaczyły miasto przy sposobności. Przyjechały, a jakże, niektóre ubrane po krakowsku — choć są spod Łaska. Bardzo to był wzruszający widok, gdy tańczyły krakowiaka. Myślicie, że były ciekawe miasta? Skąd! Te, które miasta nie miały sposobności widzieć — zostały. Nie mogła przecież nauczycielka robić sobie wstydu oberwańcami. Przywiozła więc te same kułaczęta, które miasto znają może lepiej od nas, bo niektóre z nich nawet w Łodzi już mieszkały u krewnych.

Poczęstowaliśmy je obiadem. Posiłek nie był wykwintny, ale daj Boże, żeby każde dziecko w Polsce, zwłaszcza dzieci biedoty wiejskiej miały zawsze taki. Niektóre nie chciały wziąć do ust. Robotnice z obsługi naszej stołówki gorszyły się („Chamom brak ptasiego mleka i jeszcze cackają się z nimi").

Ci, którym by nasz obiad smakował i z radością obejrzeli by miasto — zostali w domu, bo... nie mieli ubranek, butów, nie byli reprezentacyjni.

Jak to wam się podoba?

A. B.

Monachomachia i Antymonachomachia

Czytałem ostatni raz jeszcze Krasickiego „Monachomachię" i „Antymonachomachię". Mój Boże, jakież to podobne do dzisiejszej sytuacji w obozie katolickim.

Przed kilku tygodniami skarżył się na łamach „Dziś i Jutro" ksiądz proboszcz Franciszek Błotnicki na — „ohydny realizm" i to właśnie u pisarzy katolickich. „Znam Gołubiewa z artykułów — powiada ksiądz Błotnicki — bardzo dobry pisarz, tak pod względem formalnym jak i treści. Zamówiłem („Bolesława Chrobrego") i wpadłem"... Tu następują odpowiednie cytaty, których jednak na łamach „Wsi" podać nie sposób. Uczyniło to już zresztą „Dziś i Jutro". W rezultacie powieść katolickiego pisarza nie została oddana do biblioteki parafialnej i wraz z ohydnym realizmem utknęła pewno w prywatnych zbiorach księdza proboszcza.

Pamiętam, że jeszcze przed wojną zabroniono nam na lekcji religii czytać Zegadłowicza. Skutek był oczywiście przeciwny. Myślę, że „Bolesław Chrobrby" Gołubiewa stanie się nareszcie popularny.

No, a niesławnej pamięci list biskupów stwierdza, że to właśnie nie katolicki obóz, a więc nie Gołubiew, ale materializm odbiera człowiekowi jego ludzkie cechy, prowadzi do zezwierzęcenia i nadużywania rozkoszy zmysłowych.

I jeszcze jedno nieporozumienie w obozie katolickim, tym razem znacznie poważniejsze.

Biskupi nasi doszli do wniosku, że materializm jest bezwzględnie szkodliwy i musi być zwalczany przez kościół i dali wyraz przekonaniu, że młodzież polska nie pójdzie na lep socjalistycznej propagandy. A więc zgodzi się z papieżem, że czas już oddać Niemcom Ziemie Odzyskane, czas zaprzestać odbudowy kraju, czas rozwiązać Służbę Polsce choćby na rzecz Sodalicji.

Być może, że to wszystko miałoby swe logiczne uzasadnienie, z katolickiego punktu widzenia — gdyby... nie Orędzie Prymasa Polski — Kardynała Hlonda, skierowane do mieszkańców Ziem Odzyskanych.

Najwyższy nasz dostojnik Kościoła powiedział: „Bracia i Siostry, ruszyliście ze wszystkich dzielnic Polski i z za granicy, by się osiedlić na piastowskich ziemiach nad-odrzańskich, na Warmii zielonej i nad mazurskimi jeziorami. Szedł z wami kościół". W innym miejscu czytamy, że „mamy niezaprzeczalne prawo domagać się odszkodowań".

Orędzie Księcia Prymasa potwierdza zdobycze demokracji ludowej, a więc ustroju socjalistycznego, bazującego przecież na materializmie. Pierwszy raz usłyszeliśmy o budowie nowej Polski w miasteczkach i kopalniach, o likwidacji ugorów, o uruchomieniu zakładów przemysłowych itp.

I jak teraz: Monachomachia czy Antymonachomachia?

Z. S.

Encyklopedia prawdy

Wydawcy amerykańscy bronią, bez wątpienia, prawdy. Prawdy wiecznej i niezmiennej — jak sam ustrój kapitalistyczny, który starają się usankcjonować.

Reklama United States News, zamieszczona 5 marca 1948 r., ogłasza nowe wydawnictwo encyklopedyczne słowami:

„*Nie ma wśród inteligentnych ludzi miejsca* na nieporozumienia; niestety jednak, fakty te występują często a spowodowane są złośliwym przeinaczaniem słów lub idei. Oto próba skorygowania tych nieporozumień za pomocą bezstronnych definicji".

I rozpoczynają się obiektywne wyjaśnienia pojęć — czy aby nie poto, by wprowadzić jeszcze większy chaos intelektualny? Słuchajmy!

„**Ko-mu-nizm** — system, którego nieuchronnym następstwem jest: przekreślenie wszelkich praw, ambicji, szans dla indywidualności ludzkiej, oraz niewola. W kraju tym (USA) komunizm podoba się ludziom, którzy doznali niepowodzenia — obiecuje on, że zepchnie w dół ludzi odnoszących sukcesy, tak, iż ci którzy doznali zawodu przestaną innym zazdrościć, i stracą poczucie niższości.

De-mo-kra-cja — Kraj w którym każdy osobnik korzystać będzie z takiej wolności, powołania, godności i znaczenia, jakie za pomocą swych zdolności zdoła zdobyć i usprawiedliwić właściwościami swego charakteru. (Słowo to stosowane jest dla określenia krajów antydemokratycznych, w celu wprowadzenia nas w błąd przez wrogów demokracji).

Na-rzę-dzia ma-szy-no-we — coś, co pomnaża zdolność produkcyjną robotnika, a tym samym, gdy skutecznie użyte — zwiększa możliwość pomnożenia jego zarobków.

Przykłady:

WARNER & SWASEY TURRET LATHES, AUTOMATIC and TAPPING MACHINES.

Zysk — źródło siły, która powoduje wzrost businessu. Dla wszystkich USA — fabrykantów istniał przeciętny 5% zysk w 1946 r., bez zysku nie istniałby business. nie byłoby pracy.

Za-bez-pie-cze-nie — coś co osiągasz poprzez ciężką pracę, inteligencję i zapobiegliwość. Gdy mówi Ci o zabezpieczeniu demagog, to staje się to słowo synonimem niewolnictwa.

Soc-ja-lizm — system, którego nieuniknionym skutkiem jest upadek inicjatywy, nagradzania za usługi, ambicji i nadziei. Synonimy socjalizmu: niepowodzenia, porażka, nędza, głód".

Czyż warto wdawać się w dyskusję z definicjami tak oczywistymi? Ale radziłbym zapytać robotników wielkich przedsiębiorstw przemysłowych (np. przedwojennych fabryk Scheiblera i Grohmana, Geyera, Poznańskiego itp.), czy wówczas—gdy przedsiębiorstwami rządzili kapitaliści — maszyny rzeczywiście pomnażają zdolność produkcyjną robotnika, jako członka klasy wyzyskiwanej — czy też tylko pomnażają zysk kapitalisty? Czy socjalizm, a nie właśnie kapitalizm — krępuje inicjatywę obywateli (warto by sprawdzić jak monopole amerykańskie wydziedziczały już nie tylko robotników, ale nawet drobnych i średnich posiadaczy)?

Każda definicja amerykańskiej encyklopedii nasuwa tyle wątpliwości, że wydaje się, jakoby sami autorzy nie rozumieli pewnych pojęć albo starali się celowo ich jasność zaciemnić. Po cóż więc mówią o obiektywizmie naukowym, gdy idzie im po prostu o obronę amerykańskiego imperializmu.

A. L.

Wznowienia i przekłady

Przechodząc koło witryn księgarskich, prawie zawsze zatrzymujemy się na chwilę. Oglądamy wystawę. „Aha, wyszła nowa Agata Christie, jeszcze jedna powieść z dzikiego zachodu, jeszcze jeden Dołęga".

Na próżno jednak wypatrujemy „Pani Bovary", na próżno szukamy Zoli, czy Maupassanta. Owszem jest „Germinal", w starym, rzecz prosta, przekładzie, jest Balzac, dwie powieści Stendhala, ale gdzie reszta biblioteki Boya, którą powinno się przecież wznowić w całości. Gdzie jakieś próby uzupełnienia jej: „Lucjan Leuwen" nie był nigdy tłumaczony na polski, braci Goncourt zna się tylko w staroświeckich przekładach, podobnych do tego, w jakim zaprezentowano nam „Salammbo". I to w zakresie beletrystyki francuskiej, którą interesowano się najżywiej, którą usiłowano za wszelką cenę przyswoić. Z chwilą, gdy przejdziemy kanał La Manche, wydania klasyków angielskich *przekonują nas o absolutnym braku spolszczeń* nawet najważniejszych dzieł. Nie ma żadnej powieści (poza „Robinsonem Kruzoe") Daniela Defoe, żadnej powieści Fieldinga, Smoletta, Sterne'a. Cała wielka angielska powieść obyczajowa jest więc siłą rzeczy wykreślona z polskiego rynku wydawniczego, a więc tym samym niedostępna dla większości odbiorców literatury. Za to popularyzuje się z entuzjazmem wręcz godnym podziwu wszelakie trzecio-i czwartorzędne powieścidła. Otóż ostatnio z niebywałą troskliwością o konsumenta kultury przyswojono aż **pięć** powieści Cronina, wznowiono cały prawie komplet Londona. Literatura kształtuje gust, literatura wytwarza odbiorców. Nic więc dziwnego, że tak wiele książek nawet „klasycznych" uchodzi za nazbyt skomplikowane i nie odpowiadające estetycznym wyobrażeniom przeciętnego czytelnika.

F. G.

KOMUNIKAT

Wojewódzka Rada Narodowa i Wydział Kultury i Sztuki w Łodzi ogłosiły w listopadzie ub. roku konkurs na utwór sceniczny dla ochotniczych teatrów ludowych.

Skład Sądu Konkursowego stanowili:

1. Korzeniewska Ewa (Zw. Zaw. Literatów Polskich)
2. Dr Sztaudynger Jan (Centralny Instytut Kultury)
3. Zaborowski Jerzy (Wojew. Wydz. Kultury i Sztuki w Łodzi).

Pierwszą nagrodę w wysokości zł 50.000 przyznano Władysławowi Bodnickiemu za utwór pt. „Rudy Ignac".

Drugą nagrodę w wysokości 30.000 zł przyznano Bronisławowi Bakalowi za utwór pt. „Wielki bohater".

Ponadto zostały wyróżnione utwory następujących autorów:

Jadwiga Stępieniowa — „Mistrz Twardowski"
A. Podżorski — „Wesele góralskie"
Adolf Kotarba — „Trutnie"
Władysław Bodnicki — „Stara Baśń"
Jadwiga Stępieniowa — „Trzy ciotunie"
Jan Koprowski — „Dzieci Jana Słoty"
Maria Czerwińska — „Ścięcie Kani"
L. Świażawski — „Drewniaczek"
Olgierd Wit-Hanusz — „Zbrodnia"
Igno Wolański — „Chcemy żyć".

Pisarze „Wsi"

oczekujemy od Was reportaży wakacyjnych

W MIESIĄCACH WAKACYJNYCH LIPCU I SIERPNIU — „WIEŚ" BĘDZIE SIĘ UKAZYWAŁA W ODSTĘPACH DWUTYGODNIOWYCH

Redakcja

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Biblioteka Oddziału Wiejskiego, Związku Zaw. Literatów Polskich

Stanisław Czernik — Siedem nocy

Wydawnictwo „Czytelnik"

J. J. Kraszewski — Pod Blachą
Stefan Żeromski — Promień
Albert Maltz — Te trzy dni — część II i III

Biblioteka Omnibus

Kazimierz Gumiński — Jak obliczono szybkość światła
Jan Marchlewski — Dlaczego kukułka kuka
Kazimierz Gumiński — Tajemnica kolorowego widma
Jan Rymer — Dlaczego krew jest czerwona
Józef Bibowski — Jak złowić śledzia
Stanisław Urbańczyk — Jak zaczynano pisać po polsku.

Polskie Towarzystwo Ludoznawcze — Lublin

Józef Gajek i Tadeusz Seweryn — Lud
Józef Gajek — Prace i materiały etnograficzne
Tadeusz Milewski — Zarys językoznawstwa ogólnego.

Nakładem NKW Stronnictwa Ludowego

Praca zbiorowa — Prawda o żołnierzach Batalionów Chłopskich.

Biblioteka Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Literatów Polskich

Jan Maria Gisges — Opowieści krajobrazu

Radiowy Instytut Wydawniczy

Witold Doroszewski — Rozmowy o języku
Dr Witold Rybczyński — Co to jest radar
Wacław Bielecki — Europa z profilu

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-95.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-95
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360 — zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto P K O Łódź VII — 1086
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2 D—018950